

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 30 LIPCA 1927 ROKU

NR 31

TREŚĆ NUMERU: Jak podać „kroplę wody?”—*J. K.* Najmłodsze pokolenie amerykańskie (dok)—*Róża Czekońska-Heymanowa*. Wiersze: „Wieczór na wsi”, „Wieczór w mieście”, „Dni letnie”—*Lucyna Krzemieniecka*. Zabite słowo — *Ewa Szelburg*. Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Karłowe wary — *I. K. Iłakowicz*. Kobieta w świetle i w domu — *R. C. H.* Odpowiedzi redakcji. XIX międzynarodowy targ paryski — *Janina Skowrońska-Feldmanowa*. O urządzeniu królikarni—*M. Trybulska*. Wina owocowe—*W. D.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Sukienki z lekkiego jedwabiu — *Well*. Dodatek powieściowy: „Poławiacz dusz” — *Douglas Goldring* autoryzowany przekład *Haliny Gromadzkiej*. Arkusz wzorów.

JAK PODAĆ „KROPLĘ WODY?”

(parę słów o przekleństwie bierności i o uspołecznieniu).

Nie powinien w głuchą próżnię uderzyć manifestacyjny protest „O kroplę wody” („Bluszcz” z dn. 5 lipca, nr. 28). Protest zarazem przeciw karygodnemu niedbalstwu i nieludzkiej gospodarce władz miejskich stolicy, oraz przeciw obojętności społeczeństwa na nędzę chorych, niezaradnych, nieszczęśliwych, którym niema kto podać kropli wody, — wody, której brak, jak statystyki opiewają, w $\frac{1}{3}$ domów Warszawy, głównie, oczywiście, na przedmieściach i w dzielnicach ubogich.

Jeśli streścić zarzuty autorki, to wyrażą się one w jednym: nieuspołecznienie, zarówno społeczeństwa, jak i jego emanacji, władz samorządowych.

Kontrasty nędzy wydziedziczonych, a złej woli, czy niedołęstwa władz i egoistycznej obojętności bliźnich, — szczególnie jaskrawe w każdym dużym mieście, — tem ostrzej występują w Warszawie, od wieku zaniedbanej pod względem cywilizacji, zdrowotności i kulturalnego wychowania mieszkańców.

Zmniejszając nieco ostrość tego obrazu, znajdzie się jednak jego odbicie w każdym skupisku ludzkim, występują tu bowiem na jaw smutne cechy powszechnego w Polsce nieuspołecznienia.

Nie rozumiem przez to „braku serca” jedynie, bo do uspołecznienia, prócz serca, potrzebny jest rozum, potrzebna jest praca, aby stworzyć umiejętną i czynną dobroć.

Do tego stopnia, znamionującego wysoki szczebel kultury, jeszcze nie doszliśmy, jako społeczeństwo. Są, oczywiście, jednostki, lecz napewno nieliczne.

I dopóty będą umierające matki, którym nikt wody nie poda — i nie zrobi tego żaden na świecie magistrat, najbardziej ojcowski, żadne stowarzyszenie dobroczynne — dopóki społeczeństwo nie wytworzy takiej atmosfery duchowej i takich warunków cywilizacyjnych, by to stało się niemożliwością. Innymi słowy, gdy ilość jednostek uspołecznionych będzie znacznie przewyższała liczbę aspołecznych, lub wręcz antyspołecznych obywateli. Każdy przyzna (nawiązując do wypadku, opisanego przez p. Szpyrkównę), że gdyby właściciel kamienicy był człowiekiem uspołecznionym — to postarałby się przynajmniej o instalację wody dla lokatorów. Gdyby władze miejskie były uspołecznione, to nie wyrzucano by ze szpitali na bruk chorych beznadziejnie. Gdyby sąsiedzi biednej kobiety byli uspołecznieni, nie pozwoliliby jej konać na barłogu bez opieki i pociechy. Cały łańcuch przyczynowy, świadczący, że uspołecznienie musi przenikać wszędzie, musi być ideałem wszystkich, jak jest nim, np., umiejętność czytania i pisania.

Ileż to razy słyśmy się tego rodzaju głosy:—Czy to możliwe, by w mieście, w którym istnieją kuchnie dla głodnych, ludzie umierali z głodu? Co robi np. „Ochrona Kobiet”, skoro coraz więcej sprzedanej nędzy snuje się po ulicach, a 20 letnie kobiety codzień popełniają samobójstwa z braku pracy i środków do życia?

Dlaczego niema dość szpitali dla chorych, dość szkół dla dzieci, domów pracy dla włóczęgów i dla wypuszczonych z więzień, skoro istnieje magistrat z setkami urzędników?... etc., etc.

Ale co robi samże obywatel, który biadania takie wygłasza? Nie zwracajmy się do tych krytyków społecznych z propozycją osobistej pracy w jakiegokolwiek dziedzinie humanitarnej — chyba po odmowę. Przypatrzmy się ich jawnej niechęci, z jaką płacą miastu podatek szkolny, z jakimi minami dają groszowe sumki na pomoc dla bezrobotnych, a jak trudno było umieścić ubogie dzieci na obiady u ludzi zamożnych!

Malując fakty, o pomstę do nieba wołające, p. Szpyrkówna dała jednocześnie obraz zapatrywań szerokiego ogółu, który umywa ręce od obowiązku społecznego, dlatego, że istnieją organizacje społeczne, i działacze, którzy wzbudzają zainteresowanie publiczności dopiero wtedy, gdy który z nich skompromituje instytucję (co się czasem zdarza), lub dostanie order zagraniczny ..

Nie, nie wolno nie wiedzieć przeciętnemu obywatelowi, jakie są siły oficjalne i społeczne w walce ze złem i nędzą, i gdzie skupia się organizacja tej akcji. Powinien wiedzieć każdy — dla swego pożytku i dla innych — dokąd zwrócić się należy w potrzebie, kogo alarmować, do jakiej instytucji o pomoc kołatać, co leży w zakresie obowiązku i działalności danego urzędu, lub organizacji społecznej.

Trzeba wiedzieć, — a po drugie—trzeba współdziałać, trzeba być samemu społecznikiem.

— A, przepraszam, — powiedzą mi, — to nie każdy może i potrafi. Nie każdy ma czas i zdrowie na pracę społeczno-humanitarną. I nie każdy umie: mało kto zna metody takiej pracy i ma do niej zdolności i zamiłowanie.

— Niewątpliwie. Ale gdy mówię „społecznik“, nie mam na myśli zawodu organizatora, czy funkcyjnarusza pracy społecznej: myślę o człowieku uspołecznionym, którego cechą jest skłonność charakteru do niepoprzestawania na egoistycznych dążeniach. Myślę o każdym, kto naprawdę pamięta, że nie jest sam na świecie: w rodzinie, na ulicy, w biurze i w wagonie kolejowym—wszędzie. Kto umie czynić dobrze, działać na pożytek danej sprawy, choćby sam nietylko nie zyskał materialnie, ale nawet i stracił na przysługę, oddanej potrzebującym.

Są ludzie, którzy rodzą się już z wybitnym instynktem społecznictwa, którzy sami z siebie interesują się każdą sposobnością, aby komukolwiek pomóc... Ale, jeśli wrodzona skłonność społeczna nie przejdzie przez dyscyplinę życia i rozumu, bywa często śmieszna, czułościową i drobiazgową: może doprowadzić do tego, że zaniedbuje się własne dzieci, aby żałować bezdomnych psów... Gdy zaś wychowanie odpowiednio pokieruje człowiekiem, gdy wykształcenie i charakter przyjdą w sukurs, powstaje typ obywatelski, w którym dobroć serca łączy się z celowością czynu.

Natomiast człowiek, w którym komórkę uspołecznienia stłumiło, lub zabiło zwichnięte wychowa-

nie, brak kultury, lub powodzenie materialne — taki człowiek jest kaleką pod względem etycznym, jest wartością in minus we współżyciu społecznym.

Wprawdzie charakter działacza, „zawodowego“ organizatora pracy społecznej, czy pracownika na polu humanitarnym, jest udziałem ograniczonej ilości jednostek, które zamiłowania, zdolności i umiejętności w tym specjalnie kierunku rozwijają. Pospolity obywatel, nie związany nawet bezpośrednio z żadną organizacją, ani akcją społeczną, powinien przynajmniej znaleźć swój własny stosunek do tych spraw i konsekwentnie go stosować. Musi zorientować się, czy i jak należy popierać lotnictwo obronne? czy słuszną jest rzeczą, aby prochy Słowackiego sprowadzano do Ojczyzny i stawiano Wieszczeni pomniki? Czy należą się młodemu pokoleniu szkoły zawodowe i boiska sportowe? Czy prostytutka jest rzeczą ohydą, i czy trzeba ją zwalczać? Czy należy, i jak można wyprowadzić całe zastępy ludzi z mieszkań w suterenach do słonecznych domów? Czy wojna jest koniecznością świata, i czy jej usunąć nie trzeba i czy można?

Bez liku jest zagadnień, dla których myślący człowiek musi mieć odpowiedź w swym obywatelskim sumieniu, odpowiedź, która obowiązuje: Do czynnego udziału w pracy, czy walce o pewną sprawę, do popierania idei propagandą i wpływami rozporządzalnemi, do służenia majątkiem, bądź zarobkiem instytucjom, biorącym początek z danej idei.

Najpowszechniejszym przecież dotychczas objawem w naszym społeczeństwie, najwygodniejszym na krótką metę, a zabójczym dla postępu społecznego— jest stan obojętności i bierności. Owo beznadziejne: „co mnie to obchodzi“ — „co mnie do tego“ i „co mnie z tego przyjdzie?“ Słowa tragicznego lenistwa umysłowego u jednych, braku uczuć wskutek egoizmu u drugich, skąpstwa materialnego u trzecich, głupoty i tępoty... Bierność, trzykroć przeklęta we wszelkich sprawach!

Bierności tej wypowiedzieć przedewszystkiem należy posłuszeństwo, tępić ją do rdzenia — jeśli życie nie ma straszyć ludzkości koszmarem scen takich, jakie odtwarza artykuł „O kroplę wody“ — i wielu podobnych i okrutniejszych.

I dlatego pierwszym przykazaniem uspołecznienia, pierwszym pojęciem, jakie należy szczepić w społeczeństwie, a przedewszystkiem w wychowaniu młodzieży, jest stare przykazanie czynnej miłości bliźniego.

Matki! Wychowawcy! Wy musicie przyzwyczaić dziecko, by nie umiało przejść obojętnie obok krzywdy, nieszczęścia i wyzysku! Poczować się do tego, by — gdziekolwiek się jest — pomóc ofierze losu, krzywdzonego obronić, a krzywdziciela poskromić i nawrócić (smutne, jeśli konieczne — karać) — oto pierwszy szczebel uspołecznienia. (Wiedzieć, jak to zrobić, dobrze, mądrze i z pełnem osiągnięciem celu—

wyszkolenie i metoda pracy społecznej,—to dalszy etap i zapewne nie dla wszystkich dostępny).

Jeśli wychowywanie młodzieży w etyce społecznej osiągnie taki ideał powszechny w jednym pokoleniu, będzie to już bardzo dużo. Będzie to abecadło uspołecznienia, pierwsza umiejętność, która przyda się każdemu na każdym stanowisku i da nieobliczalne rezultaty i procenty społeczeństwu i kulturze. Są rzeczy oburzające, są okropności, na które

wzdryga się serce ludzkie od początku świata — i trwają! Byli i będą krzywdzeni i krzywdziciele. Ale gdyby tylko zmniejszyła się suma krzywd, gdyby tylko do połowy osuszyć można morze łez — czy nie warto?! Niema rzeczy małych, gdy chodzi o człowieka! Słusznie woła p. Szpyrkówna o „kroplę wody” — nie o studnię nawet — bo każda kropla ma swoją wagę uśmiechu życia, lub gehenny... Nie może tu być kwietyzmu i biernej bezmyślności. J. K.



RÓŻA CZEKAŃSKA-HEYMANOWA

NAJMŁODSZE POKOLENIE AMERYKAŃSKIE

(dokończenie)

II.

Pośród młodzieży stosunek wzajemny obu płci stał się w ostatnich czasach o wiele naturalniejszy i bardziej swobodny, niż dawniej.

Ośmioletnia dziewczynka, idąc na ulicy w towarzystwie ojca, spotyka pewną panią, znajomą rodziców; usłyszawszy jej nazwisko, mała zapytuje:

— Czy pani jest matką mojego kolegi Teda? Tak? bardzo mi przyjemnie, bo jestem właśnie jego narzeczoną.—Przyczem śladu zakłopotania na małej twarzyczce. To takie naturalne: przypadli sobie do gustu i basta.

Pewnego razu córeczka Crowella, Cathleen, powróciła ze szkoły w towarzystwie małego, pyzatego chłopaczka, który na ulicy niósł nad nią rozpostarty parasol, bo właśnie padał deszcz.

— To jest Billy, — przedstawiła go krótko domownikom, a potem, w charakterze wyjaśnienia:

— Postanowiliśmy z nim pobrać się, gdy tylko dorośniemy; mówiliśmy dziś o tem przez cały czas, podczas paury.

Jakże inaczej dawniej w Ameryce, (a dziś jeszcze w Europie) były traktowane małe dziewczynki przez swych rówieśników! Wobec dziewcząt należało być szorstkim, nawet opryskliwym, wyśmiewać się z nich, a w najlepszym razie, nie zwracać na nie żadnej uwagi. Nic bardziej upokarzającego, jak iść w towarzystwie siostry do szkoły; posłuszeństwo zaś względem starszej siostry, to poprostu wstyd! Gdy się było już wyrostkiem, ten i ów, w szalonej tajemnicy

przed otoczeniem, „podkochiwał“ się w którejs z koleżanek.

Co za hańba, jednak, gdy uczucie to zostało w jakiś sposób odkryte przez domowników! Zakochany radby się wówczas ukryć pod ziemię! „Dziewczyny“ były celem drwin i wyśmiewań, a „kochać się“—znaczyło okryć się śmiesznością na wieki! Dawniejsi chłopcy uważali sobie za punkt honoru mieć zawsze brudne uszy i paznokcie; kto nosił się czysto, zyskiwał wśród chłopców pogardliwe miano lalusia. W mowie używało się najbardziej „soczystych“ przerwisk i wyrażeń, a spluwanie przez zęby należało wówczas do najlepszego tonu.

Dzisiejsi chłopcy amerykańscy, z chwilą, gdy zaczynają uczęszczać do szkoły, dbają o swój ubiór, a czystość ciała i stroju nie jest wyjątkiem, lecz raczej zjawiskiem powszechnem. Chłopiec, który nie potrafi zwrócić na siebie specjalnej, a przychyłnej uwagi którejs z koleżanek, staje się śmieszną i godną politowania figurą. Pogarda względem dziewcząt stanowczo wyszła z mody. Zmianę ową we wzajemnym stosunku dzisiejszej młodzieży łatwo zrozumiemy, gdy uświadomimy sobie, jak bardzo różnią się dziewczęta obecnego pokolenia od dawnych, które teraz są ich babkami, a nawet matkami.

W naszych czasach dziewczęta oddają się sportom z niemniejszym zapamiętaniem się, niż ich bracia; w lekkiej atletyce, pływaniu, tennisie zdobywają światowe rekordy, co niemało przyczynia się do podniesienia prestiżu ich wśród chłopców. Weźmy drobny przykład. Przed laty trzydziestu dzieci bawią się

w złodziei. W zapamiętałej gonitwie policjantów za przestępcami wypada nieraz wdrapać się na drzewo, przesadzić rów, lub, prosto, szybko uciekać. Dziewczynki są, oczywiście, wyłączone z tej pysznej zabawy. Po pierwsze—długie sukienki tamują swobodę ich ruchów, po drugie—„nie wypada“ dziewczynkom piąć się po drzewach i skakać przez płoty, po trzecie—umieją one wyszywać krzyżkami robótki i układać buzie w ciup,—gimnastyki jednak ich nie uczono. Dzisiejsza dziewczynka, wygimnastykowana od małości, biega, skacze, nie gorzej, niż chłopiec. Cóż w tem dziwnego, że ówczesni chłopcy uważali takie niemrawe dziewczęta za coś niższego od siebie, podczas, gdy dla terażniejszych—siostry ich są doskonałemi towarzyszkami zabaw.

Chociaż dziewczęta są dzisiaj współrzednymi partnerkami braci swych we wszystkich prawie dziedzinach życia, to jednak w oczach chłopców posiadają one pewne odrębne prawa i obowiązki. Np. dziewczynka powinna być ładna, albo przynajmniej zgrabna i prawidłowo zbudowana. Pewnego razu Chester Crowell był świadkiem sporu dwóch ośmioletnich malców, która z dziewczynek w klasie zasługuje na miano najpiękniejszej.

— Ja głosuję za Alicją, — powiedział jeden.

— Hm!—zastanawiał się drugi.—Alicja ma wprawdzie ładną twarz, ale nie, nie zgadzam się na nią: przypomnij sobie jej nogi.

— Czegóż im brak?—

— Czego? Stopy są za duże, a przytem nogi nieprawidłowo wygięte.

Tu wielki palec małego sędziego zakreślił w powietrzu linię, mającą ilustrować rysunek nóg kandydatki na piękność.

— I cóż powiecie—woła Crowell,—przypadkowo znam małą Alicję: uważam, że rzeczywiście posiada ona nieprawidłowo wygięte nogi! Kinematograf, ukazujący na ekranie najpiękniej zbudowanych mężczyzn i kobiety, ilustracje sportowe—nauczyły nasze dzieci umieć oceniać piękno ciała ludzkiego.

Dzisiejsze dzieci, przysłuchując się rozmowom starszych, gdy mowa o obecnej, jakoby niemoralnej, modzie krótkich sukien, nie umieją zrozumieć, na czem, właściwie, polega owa niemoralność.

Skoro się odsłania ramiona i szyję, dlaczego nie odsłaniać nóg?

Dlaczego właśnie nogi mają być czemś bardziej nieprzyzwoitem, niż szyja, nos, czy ucho? Gdyby naraz kobiety zaczęły nosić długie suknie, dzieci, doszukując się przyczyny owej zmiany, napewno nigdy nie wpadłyby na pomysł, że została ona spowodowana przez skromność, czy moralność; raczej domyślałyby się, że wszystkim kobietom naraz nogi popuchły, lub wykrzywiły, się i że wobec tego wstydzą się one je pokazać.

Kiedy dzieci mówią między sobą o wyborze zawodu, gdy już dorosną, dziewczynkom nie przychodzi nawet na myśl, że nie mogą zostać w przyszłości tem, czem chłopcy. Wszystkie kariery stoją przed niemi otworem.

Adwokatura, medycyna, nauczycielstwo, szoferka, czy też praca biurowa—są jednakowo dostępne dla obu płci.

Kwestja, czy każdy rodzaj pracy odpowiedni jest dla kobiety, może być jeszcze przedmiotem dyskusji dla młodzieży starszej, — najmłodsze pokolenie jest przekonane, że niema pracy, której nie mogłaby się podjąć kobieta, skoro uskutecznią ją mężczyzna.

Słowem, dzisiejsza mała dziewczynka, to w przyszłości człowiek, bez reszty, a raczej człowiek z plusem wdzięku i urody.

Zdaniem Chestera Crowella, niema i nie było nigdy i nigdzie na ziemi dzieci, równie zdrowych i bardziej obiecujących pod względem fizycznym, moralnym i umysłowym, jak obecne najmłodsze pokolenie dzieci amerykańskich.

Dzisiejsza „postępowość“ dziewcząt amerykańskich razi jeszcze, być może, ich rodziców,—dla współczesnych chłopców jest jednak czemś zupełnie naturalnem.

Rzecz szczególna, że ojcowie buntują się bardziej przeciw swobodzie postępowania swoich córek, niż matki. Obie połowy rodu ludzkiego są więcej konserwatywne względem obcej płci, niż względem własnej.

Ciekawe jest zapatrywanie Chester Crowella na wpływ kina w wychowaniu najmłodszego pokolenia. Widzi on w niem same dobre strony. W Stanach Zjednoczonych wyświetlają prawie wyłącznie filmy amerykańskie. Filmy te posiadają zawsze zdrową tendencję moralną, uczą one młodzież dzielności, przedsiębiorczości, zamiłowania do pracy, wierności dla przyjaciół i t. p. Obrazy o treści naukowej w przystępny i łatwy sposób popularyzują wśród dzieci wiadomości z dziedziny historii naturalnej, chemji, fizyki i wytwórczości przemysłowej. Jakże dzieci amerykańskie reagują na widziane obrazy?

Od małego zaznajamiają się one z cudami srebrnego ekranu.

Chłopcy lubią oglądać na nim konie, okręty, walki, maszyny, przytem żądają, aby akcja toczyła się szybko, jaknajszybciej, mniejsza o temat: im bardziej jest on prosty i mniej skomplikowany, tem lepiej. Dziewczynki rade są podziwiać piękne aktorki i bogate ich stroje.

Naogół dzieci nie znoszą dramatów, ani przewlekłych historyj miłosnych. Treść obrazu musi być wesoła, aktorzy zaś winni dokazywać cudów zręczności akrobatycznej. Filmy erotyczne, czy kryminalne, słowem nieodpowiednie dla wieku dziecięcego, zda-

niem Chester Crowella, nie wpływają szkodliwie na dzieci amerykańskie dla tej prostej przyczyny, że je śmiertelnie nudzą, i dzieci, patrząc na nie, ziewają wniebogłose i radeby jaknajprędzej uciec z kina.

Autor słyszał kiedyś, jak dziewięcioletni chłopczyk opowiadał siedmioletniej siostrze treść widzianego przez się obrazu:—... wtedy, naturalnie, mężczyzna strzelił do ukochanej...

— Dlaczego strzelił? — zapytała dziewczynka.

— Ponieważ kochał się w niej, — brzmiała odpowiedź.

— To nic, mężczyźni zawsze tak robią, gdy są zakochani; ale jest to konieczne tylko w kinie.

— Aha, — odetchnęła z ulgą mała kobietka, — mów dalej, ale to dość nudne.

Dzieci dzisiejsze nie mają czasu na rozmyślanie nad treścią obrazów filmowych: są one nazbyt pochłonięte przez sporty i naukę. Prawie wszystkie należą do drużyn harcerskich, uczestniczą w zawodach sportowych, uczą się tańczyć, czytają swoje gazety i magazyny, słuchają specjalnie dla siebie wygłaszanych odczytów; słowem, dzień dziecka jest wypełniony po brzegi nauką i zabawą.

Wrażenia dziecięce — z powodu ich mnogości i różnorodności — są raczej powierzchowne i szybko przemijające.

My, dorośli, czynimy z tego powodu dzieciom zarzut płytkości. Któż jest temu winien, jeśli nawet tak jest?

Wszak to my, rodzice, urządzamy i regulujemy ich życie; nie dziwmy się więc, że żyją one tak, a nie inaczej.

Dzisiejszy stosunek dzieci do rodziców inny jest, niż przed laty, a jeśli uważamy go za gorszy, to zmiana owa jest znowu winą samych rodziców.

Być może, że dawniej stosunek ten nie był tak, że tak powiem, koleżeński, jak to obserwujemy za naszych czasów; dawniej jednak dzieci bez wątpienia bardziej bały się swych rodziców i więcej liczyły się z ich zdaniem, niż to ma miejsce obecnie. Dzisiejsi rodzice poruszają wszystkie sprawy w obecności dzieci, często sprzecząją się między sobą i obrzucają się wzajemnie wymówkami.

Rzecz oczywista, że takie postępowanie obniża ogromnie ich autorytet. Dzieci uczą się sądzić ojca, czy matkę, a co zatem idzie przestają ich szanować.

Krytycyzm dzieci względem rodziców istniał zawsze, budził się jednak nie wcześniej, jak w piętnastym, czy szesnastym roku życia; obecnie nawet malcy kilkuletni zdają się dziwnie trzeźwo osądzać swoich życiodawców. Gdy dawne dziecko prosiło ojca, czy matkę o wyjaśnienie mu jakiejś kwestji, zdanie rodzicielskie miało w jego oczach znaczenie najwyższej instancji i autorytetu. Dziś inaczej. Mały bąk amerykański pyta najpierw; — „Tatusiu, czy możesz mi odpowiedzieć na to pytanie?“ — Dzieciaki współczesne zdają się pojmować, że wiedza ludzka obejmuje olbrzymie horyzonty i że trzeba być bardzo wykształconym, aby umieć odpowiedzieć na wszystkie pytania.

Najmłodsze pokolenie amerykańskie uważa, że należy mu się od rodziców jaknajwiększa troska o jego zdrowie i wykształcenie. Wychowanie powinno je przygotować do walki z życiem i umożliwić jaknajlepsze zarobkowanie w przyszłości. Dawniej chłopiec kilkunastoletni marzył o tem, aby jaknajwcześniej zacząć pomagać ojcu; w tym celu chętnie przerywał rozpoczętą naukę i studia, aby chwycić się pracy zarobkowej. Obecnie dziecko wymaga od rodziców, aby mu dali fachowe wykształcenie. Nie świadczy to o braku u niego serca. Bynajmniej: jest raczej objawem ducha czasu, realnego i pozbawionego romantyzmu.

Nie jest to ani złe, ani dobre: poprostu jest, jak jest.

Nie dzieci nasze stworzyły świat dzisiejszy takim, jakim jest on obecnie: stworzyliśmy go my, ich rodzice.

Nie miejmy więc o to do nich żalu.

Stosunek ich do życia układa się bardziej trzeźwo, niż za naszych czasów dziecięcych; inteligencja ich zaś jest bardziej żywa i ostra.

Dzisiejsze najmłodsze pokolenie zdaje się być bardziej rewolucyjne w swoich zamierzeniach, niż obecne pokolenie młode. Rewolucja owa jednak odbywać się będzie zupełnie pokojowo i wyłącznie w dziedzinie realnej pracy, a nie bezpłodnych dociekań i hałaśliwych, a teoretycznych dowodzeń.

Z praktycznego punktu widzenia ważniejsze jest nie to, w co się wierzy, lecz czy owo coś potrafi być podniętą do twórczej pracy i bodźcem do stworzenia na ziemi jaknajlepszych warunków życia, w ogólnem wzajemnem zrozumieniu się i miłości.



LUCYNA KRZEMIENIECKA

WIECZÓR NA WSI

Drożyna wśród szarych płotów, cicha i długa, jak wieczór.
 W powietrzu podwójny zapach: lipca i gorzkich mleczów.
 Serce, jak mała dziecina, wciąż samo sobie się żali.
 Błąka się blady księżyc wśród słodkiej czerwieni malin.
 Jak mała kreska w zeszycie, widnieje w oddali strumień.
 Na drzewach wierszy zielonych szukam i znaleźć nie umiem.
 Chce się być w klasie podstępnej, mieć małe pudełko kredek,
 Malować lila kolorem bobo, skarpetki, rezedę...

WIECZÓR W MIEŚCIE

Szum, kwadratowe bramy i ludzie. Ludzie się tłoczą.
 Wyzywające spojrzenia jasno-niebieskich oczu.
 Własny mój wzrok zbłąkany wśród czarnych i srebrnych dachów,
 Potem dwie myśli wieczorne: ciężkie i płaskie, jak blacha.
 Na granatowych wyżynach zwierz złoty do skoku się pręży.
 Myślę bezładnie: Czemu to się nazywa księżyc?
 Na grubym słupie krwawią reklamy o sławnym meczu.
 Depczę swój cień uparcie, jak miasto depcze wieczór.

DNI LETNIE

Dni są barwne i świeże, jak wiejski samodziół.
 Niemi trawy i niebo przetykane pstrokato,
 Przewiewne, jak upały, skąpane w modrej wodzie,
 Śpiewające hymn żaru uśmiechniętym kwiatom,
 Litanją suchych kłosów i owadzich brzęczeń
 Rozmodlone, klęczące na łodyg kolanach,
 Dni, jak karty, przez nieba radosne przełęczce
 Na stół ziemi rzucone, leniwą dłonią Pana.



EWA SZELBURG

ZABITE SŁOWO

Agnieszka wzięła ze sobą oboje dzieci.

Nie zdziwiło nikogo, że wyszli wcześniej, niż zawsze, słońce bowiem grzało dobrze i śpiewały już drozdy. Była jednak dopiero dziewiąta i stara Marjana, przezwana nie wiedzieć dlaczego „Majoliką“, nie zdążyła nasmarować bułek i ułożyć ich swoim zwyczajem w dwurządek pod serwetką w plecionym koszyczku.

Uradowany tem Tor wypchał pieczywem kieszenie, jak zwykli robić chłopci, układający sągi na porębie za Trzema Sosnami, a mała Kazia chytrze wsunęła maślany rogalik za napierśnik fartuszka.

Agnieszka szła nierównym, nieco trwożnym krokiem i ciągle zaczepiała oczami o dzieci, biegnące po słonecznej stronie alei. Tor, wyrzucając głową i mocno zginając nogi w kolanach, brykał, jak prawdziwy żrebak, a mała Kazia na chudych, ptasich nóżkach, podskakiwała z piskiem i chichotkami, jak przekorna srocza. Suty, biały fartuszek prawie całkiem przesłaniał jej króciutką, żałobną sukienkę. Agnieszka westchnęła mocno i krótko, jak zwykła była wzdychać, gdy zwracała się do dzieci ze słowami: — gdyby żył wasz biedny ojciec...

Tak, ale doszli właśnie do tego miejsca, gdzie w ścianie grabów jest mały wyłom, podłużny i wąski, jak okno strzelnicze. Widać stąd płaskie, seledynowe obłoki łąk i głęboki błękit chłodnego jeziora, a na niem latające gwiazdy srebrnych rybitew.

Dzieci zakrzyczały z radości, a Agnieszka westchnęła przeciągle, ale leciutko i ostrożnie. Pomyślała bowiem o Zygfriedzie, a raczej o tem słowie, które mu da dziś, tam pod Czerwonym Bukiem.

Słowo to miała w sobie już dawno! Już wtedy, gdy jeszcze—Boże przebacz!—Karol siadywał o własnej sile na fotelu, stojącym przed domem i, okryty pledem, zasypiał na długie godziny w popołudniowym słońcu.

Tak, już wtedy miała to słówko maleńkie w ciemnej i ciepłej komórce serca. Leżało tam sobie na samem dnie, zwinięte w kłębuszek, maciupenieńkie, prawie niewidoczne, przysute złotą słomą prostej przyjaźni... Bezradne było i ślepe...

Nie myślała nigdy, nie przypuszczała, że ono może kiedyś przejrzeć i tak strasznie urosnąć!..

Dzieci wdrapały się już pod górę i nawoływały matkę, żeby szła prędzej.

Krzyczały, że znalazły ślimaka i Tor dał mu bułkę, ale ślimak nie chce jeść, tylko się ślini.

— Czy Kazia może mu wobec tego dać rożek swego rogalika?

Agnieszka spojrzała na zegarek. Czarne wskazówki, jak rozdwojone żądło węża, z ledwowiedocznem drzeniem, wskazywały dziesiątą godzinę.

Za piętnaście minut pod Czerwone Buki przyjdzie Zygfried i wyciągnie spragnione ręce po słowo, które mu obiecała dać.

Za piętnaście minut świat będzie całkiem inny, (może turkusowy cały, może cały złoty?)

Za piętnaście minut stanie się cud, który ma nazwę tak prostą i tak trudną zarazem: — spełnienie szczęścia, — a który także nazywa się: — miłość.

Nie, Agnieszka nie uważa, żeby rogalik Kazi mógł smakować ślimakowi i to takiemu ślimakowi, który się ślini; nie ma natomiast nic przeciwko temu, żeby dzieci pobiegały „kto prędzej“ od ławki do ławki,

(Chciała, poprostu, pozbyć się ich na tę chwilę) ale Tor zaproponował co innego: niech matka pozwoli im pójść na kopczyk Mucyka. Dawno tam nie byli. Kwiatki musiały już zwiędnąć nanic, a także z pewnością wyszło koło z rozchodniku. Nie można przecież zapominać o psie, który był taki wierny i duży i zdechł.

Pójdą i poprawią, co trzeba. O, tu jest gwizdek, (odpinał szybko od chłopięcego paska mały, błyszczący przedmiot) matka może dwa razy zagwizdać i zaraz przyjdą, przyjdą z pewnością!

Tak. Kazia, zaplatając palce lewej ręki w misterny obwarzanek, oświadczyła nawet, że ona—przyleci pierwej, niż Tor. Zrobi to napewno! Tylko niech matka zagwizdże na Torowej gwizdawce nie dwa, a trzy razy i tak, żeby w gwizdawce „zaciurkało“. I, ma się, rozumieć nie zaraz, ale później, bardzo później.

Po długich pertraktacjach Agnieszka zgodziła się, ale pod warunkiem, że Tor cały czas będzie uważał, aby Kazia nie odchodziła od kopca Mucyka i nie zbliżała się zanadto do bajorka.

Tor przyrzekł uroczyście, że specjalnie przez siebie wymyślonym ceremonjałem stania na jednej nodze i trzymania się prawą ręką za lewą piętę; poczem puscili się oboje co tchu z górki.

A Agnieszka poszła pod Czerwone Buki. Usiadła na kamiennej ławce, wyścielonej w zagłębieniach króciutkim zielonym mchem, i stopy oparła o wielki korzeń, wytarty z kory aż do słonecznego rdzenia.

Śpiewały drozdy.

Agnieszka myślała o Zygfriedzie: że przyjdzie, aby już nie odejść!

Pierwszy raz było jej tak nieskończenie dobrze. Chciała wciąż jeszcze myśleć to samo, ale głosy opodal bawiących się dzieci były bardzo głośne. Popatrzyła w stronę kopca Mucyka: przez rzadko stojące pnie drzew widać było doskonale Tora, pochylonego nad zazielszczonym wzgóreczkiem ziemi i przycupniętą obok niego Kazię.

— Ach,—przypomniała sobie nagle Agnieszka— od trzech dni Kazia nie piła tranu. Zupełnie mi to wyszło z głowy... — i brwi jej drgnęły spłoszone.

O kilka kroków za czarnymi olchami łypało z pod zielonej, zlepionej rzęsy niewielkie bajorko. Agnieszka zawadziła o nie wzrokiem i nagle poczuła zapach mokrego płótna i krążków z cytryny.

W pierwszej chwili nie mogła się zorientować, dlaczego? I dopiero, gdy przytknęła oczy i nacisnęła lekko skronie, przypomniała sobie wszystko!... Ten dzień z przed lat dwudziestu stanął raptem tuż przed nią, nieomal zwałił jej się z pomiędzy spokojnych konarów buku na słońcem głaskane kolana!

Widzi: stara Marjanna — Majolika, młoda, błę-

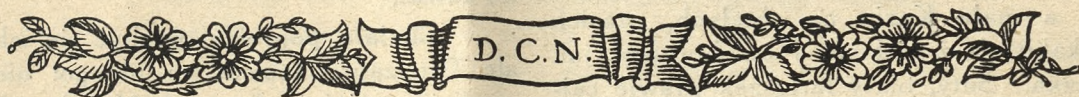
szcząca i biało-różowa w sukience w groszki i kremowym fartuszk, przebiega raz poraz przez dziecinny pokój. Za każdym razem na wilgotnej przewiązce z białego płótna niesie trzy krążki cytryny. To mama ma migrenę. Leży w sąsiednim pokoju, nawpół rozebrana, na atlasowej, paljowej kołdrze, i mówi z pod krążków cytryny, trzymanyh wilgotną opaską:

— Na miłość boską, zostawcie mnie samą! — I mówi jeszcze:

— Majoliko, powiedz Pietrusiowej, żeby rosół był bez pietruszki! na miłość boską bez pietruszki! koniecznie bez pietruszki.

Agnieszka, braciszek Hub, braciszek Karl i najmłodsza siostrzyczka Joasia wiedzą już, że tak będzie przez trzy dni. Trzeba koniecznie, „uważać co się robi“, chodzić na palcach, nie trzaskać drzwiami, nie kłócić się przy myciu i nie mówić nic a nic o pietruszce! broń Boże, o tej pietruszce!

Za to ojciec będzie spał w kancelarji za sienią i można pójść patrzeć, jak mu śmiesznie ścielą na ceratowej sofie, która z małej robi się dużą.



W. MIŁASZEWSKA

4

KACZĘTA

(powieść)

Potem całe jakieś sceny panie i panowie we frakach, a każdemu z nich ogon z pod fraka wystaje długi, zakręcony, niczem djabłu. Albo znowu jakieś potwory maluje czerwoną i niebieską farbą. Niby smoki, bo im z paszczy ogień bucha, a kopyta mają końskie... Ba, teraz jeszcze gorzej... przedwczoraj, słyszę, że krzesło Marka mocniej jakoś skrzypi, a on kolanami mało że dziur w niem nie wywierci. Zbliżam się i tak, z ciekawości, przez plecy mu spoglądam, co on tam takiego znów sporządza... I co widzę?! Panny! Same gołe panny! Bokiem, i z przodu, i z tyłu, inna się na wznak rozkłada i oczy całkiem wywrócone trzyma, białka widać...

Aż krzyknęłam, a Marek zaraz papier chwycił, zmiął w rękę i poczerwieniał strasznie.

Udałam, że mam się w palec o krzesło stuknęła, i pytam, jakby nigdy nic:

- Co ty tam robisz, Marku?
- Tak, ciociu, bazgrzę coś sobie.
- A lekcje odrobiłeś?
- Zaraz odrobię, ciociu, zaraz.

Najgorzej, że ten Marek jest taki potulny. Bo gdyby odburknął, jak Tomasz, albo Staś... Ale on zawsze był cichy, słodki; a niech kto podniesionym głosem coś powie, albo niech jaka sprzeczka wyniknie: to on zaraz z pokoju wychodzi, albo oczy przytknie, a na twarzy ma taki wyraz, jakby go ból mocny przeszywał od wewnątrz, od serca.

Jeszcze, jak był zupełnie malutki, miałam z nim nieraz biedę. Adelfia, jak Adelfia: prędką, zapalczywą, to czasem wpadła na niego, że jej coś na stoliku ruszył, albo lalki poprzewracał, albo coś połamał, czy splamił. To zawsze, nim jeszcze dobiegła z tym krzykiem, Marek już usta w podkówkę składa i bródka mu się trzęsie, jak od wstrzymanego płaczu.

Adelfia na niego:

— Beksal!

I odwraca się z pogardą, a on za rękę mocno mię trzyma, albo za spódnicę i dygocze, jak liść.

Musiała się czegoś nastraszyć Antolka, przez to Marek taki nerwowy.

3 maja.

I pękła bomba!

Rano chłopcy poszli na ten uroczysty obchód 3-go maja. Byłabym sama poszła, ale w domu, trzeci maj, czy nie trzeci, roboty zawsze sporo się znajdzie, zwłaszcza, jak służącym na ręce patrzeć musisz, bo im się wszystko do tych rąk przyklepia. Takie to teraz i sługi.

Poszła na obchód Adelcia z ojcem (Tomka nie ma w Warszawie), a Staś i Marek osobno. Potem mi Staś opowiadał, że ślicznie było, a Niemcy, to się musieli chyba wściekać ze złości na widok takiego tłumu Polaków, zdolnych do noszenia broni.

Około trzeciej wraca Teofil z Adelcią, wściekły czegoś, bo już od progu strasznym głosem woła:

— Gdzie Marek?

Odrąz zrozumiałam, że się zaczyna awantura, ale udaję, że nic, i najspokojniej mówię:

— Chłopcy jeszcze nie wrócili. Przecież ze szkołą mieli iść w pochodzie!

— Tak, — powiada Teofil — ze szkołą!

Wąsy mu się zjeżyły, a każdy wyraz to tak wymawiał sycząco, niczem wąż boa.

— Widziałem się — powiada — z dyrektorem. Ślicznych się dowiedziałem rzeczy, no, no!

A Adelcia zaraz:

— Ojczuś się panu dyrektorowi zdaleka tylko kłaniał, a on sam do nas podszedł i opowiedział wszystko. Ładnie się cioci pupil popisal! Niema co mówić, gagatek!

— Jaki znów pupil, jaki gagatek, Adelciu?!

— Już niech Justynka nie udaje — huknął Teofil — że nie wie, o co chodzi! Ale ja to ukróczę! Już ja smykowi uszu natrę!

Nieznośna ta Adelcia! Kręci się po pokoju, jak fryga, a oczami strzyże, zupełnie, jakby ją cieszyło, że Mareczka przykrość spotka!

Żeby trochę czasu przeszło, toby się Teofil uspokoił, bo on, jak dobry obiad zje (a na obiad była wątróbka, którą on bardzo lubi), to zaraz wpada w dobry humor. Ale, jak na złość, właśnie chłopcy nadeszli. Zaraz Teofil wsiadł na Marka i to tak ostro, jak chyba jeszcze nigdy.

— To tak? — powiada — To to tak? Ja cię do szkoły posyłam, huncwocie, a ty rodzinie całej wstyd przynosisz? Czekaj! Od dziś nauka i tylko nauka. Żadnego rysowania! Żebyś mi ołówka nie wziął do ręki! Zabraniam! I niech Justynka — do mnie się zwróci! — pamięta, że to mój rozkaz nieodwołalny. A te wszystkie bohomy wyzucić precz! Niech smarkacz geometrię kuje, z której pałki zbiera na cenzurę! Jak nad książką posiedzi, to mu te głupstwa wywietrzeją z głowy!..

Podemną się nogi trzęsły od tego krzyku, od tych zakazów, a na Marka spojrzeć się bałam i myślałam, co on, biedaczek, cierpieć musi!

Aż tu Marek, jakby go co odmieniło! Przybladł tylko trochę, ale się z miejsca ruszył i do ojca podszedł bliżej.

— To niemożliwe, — powiedział głośno — co ojciec mówi! Niech ojciec cofnie ten zakaz!

Jeszczem nigdy nie słyszała, żeby mój Marek mówił takim stanowczym tonem. Co mu się stało?

A Teofil jak nie krzyknie:

— Milczeć! To ty, leniu, w szkole ani be, ani me, a teraz na mnie głos podnosisz? Na ojca? Milczeć! A z rysowaniem koniec, koniec, rozumiesz?

— Nie rozumiem! — zawołał Marek, — nie rozumiem, nie chcę rozumieć! Ojciec nie może mi zabronić! Ojciec nie ma prawa, ojciec...

Aż się zachłysnął.

No, już się Teofilowi przebrała miarka.

— Nie mam prawa, powiadasz? Zobaczymy, jakie mam prawo! Ty mię będziesz pouczał, ty niedorostku, ty faflu, ty smyku uparty!

Dopiero się posypały różne wymysły! Staś stał przy oknie i bębnił w szyby palcami. Widziałam, że usta przygryzał, a i Adelci zrobiło się strasznie żal Marka, bo zaczęła ciągnąć ojca za rękaw.

— Już niech ojczuś da spokój! Mój tatusiu, ja proszę...

Adelcia się tak potrafi przymilić, gdy zechce, że każdego udobrucha. Jakoś się i Teofil umitygował.

— Pamiętaj sobie, że z tych łódek w niedzielę nic! Zapamiętaj sobie! A teraz marsz z pokoju i do książki! Żebyś cię na oczy dziś nie widział!

W niedzielę wypadały Stasia imieniny i mieli z Markiem wiosłować łódką po Wiśle. Co to za serce ma ten Teofil, żeby tak karać chłopaka za to, że ja kąś tam głupią karykaturę...

Marek wyszedł z pokoju bez słowa. Nawet na mnie nie spojrział. Jak ten obiad się włókl! Teofil zgrzytał widelcem po talerzu, Staś zgrzytał zębami do taktu, a Adelcia prawie nic nie jadła.

Jak tylko Teofil poszedł na drzemkę, wymknęłam się do pokoju chłopców. Marek siedział przy oknie z głową podpartą na rękach. Nawet głowy ku drzwiom nie obrócił.

Podeszłam do niego.

— Mareczku, możebyś co zjadł? Zostawiłam ci talerz rosołu i...

Dopiero, jak nie wybuchnie płaczem! Płakał, niczem dziecko, ten duży chłopiec, ten mój Marek maleńki... Prawie się zanosił od płaczu. Musiałam mu oczy i nos chustką obcierać, a on wołał przez łzy:

— Ojciec jest okrutny, niesprawiedliwy! Co ja ojcu zrobiłem, że mię tak chce karać?! Powiedział, że mię na oczy nie chce widzieć! Dobrze... Dobrze! Nie będzie mię widział na oczy, bo ja umrę, jak mi nie dadzą rysować! Ja muszę rysować, muszę! Ja muszę zostać malarzem! Ja nie chcę żadnej szkoły... Ja umrę, zobaczycie, ja umrę!

Plakał do zmięzchu. Jak tylko Teofil wyszedł z domu, zapaliłam lampę i przyniosłam Markowi całe pudełko kredek i papier.

— Masz—powiedziałam—kochanie, porysuj sobie trochę...

Dlaczego spojrział na mnie z niechęcią, jakby ze złością, dobrawdy nie wiem.

— Niech sobie ciocia to zabierze! — burknął. Położył się na łóżko, owinał pledem i odwrócił głowę do ściany. Nigdy do mnie nie mówił takim głosem...

Biedny Marek! Już to racji nie ma Teofil, żeby tak chłopca zmalretować... Kocha sobie to rysowanie, no, niechtam... Czy będzie, czy nie będzie rysował, do geometrii przecie chęci nie nabierze; poco go znów tak surowo karać... Dał Bóg jednemu zdolności, drugiemu nie. A może Marek ma naprawdę zdolności do tego malarstwa...

Najgorzej, że on tak do serca wszystko bierze. Zupełnie Antolka.

11 maja.

Tomek przyjechał z Łodzi dziś rano. Zaraz się z Teofilem zamknęli w pokoju i długo rozmawiali. Teofil często powtarza, że Tomek ma głowę na karku i że się prędko dorobi pieniędzy. Daj mu Boże. Oby tylko tych pieniędzy nie przepuścił, jak go usidliła jego... Mówią, że niejednego przez kobietę pieniądze stracił; ja sama widziałam takich, co z torbami poszli, a mieli ładny majątek.

Żeby to jeszcze jaka panna z przyzwoitej rodziny... Tomek młody, prawda, ale za jaki rok mógłby się ożenić. Lepiej, niż żeby z jakąś tam dziewczyną romansował. Z tego się nic dobrego nie dopyta, a nie daj Boże jakiej biedy tylko...

Już ja wiem, dobrze wybadałam, kto to taki. Podaje się za biuralistkę. Na maszynie pisze niby. Ale gdzieby to biuralistkę stać było na takie pończochy! Sama widziałam, jak szła kiedyś z Tomkiem przez ulicę. Miała kostjum z granatowej tafty, a pończochy popielate, jedwabne. Że jej tak nie wstyd nogi do kolan pokazywać! Nie dość, że suknia krótka, jak u podlotka, ale ją jeszcze podebrała z boku ręką, choć błota na ulicy było tyle, że i wróbelby nóg nie zamoczył.

Wcale ich nie podpatrywałam, ani nie chciałam podsłuchiwać. Stałam sobie w sklepiku na dole, jak przechodzili, i tylko głowę za nimi wysunęłam prze drzwi. Tomek się przed naszą bramą zatrzymał, pocałował ją w rękę, jak jakąś mężatkę, a ona do niego:

— Przyjdiesz dzisiaj, prawda?

„Ty“ sobie mówią! Słyszane rzeczy! Teofil niby o niczem nie wie. Dopieroby miał minę, żeby mu Tomasz taką synową do domu wprowadził! A czy to

niemożliwe, że on się z nią gotów ożenić? Taka to na wszystko sposób znajdzie...

A może ja sobie głowę próżno zaprzętam?... Wiadomo, młodość musi się wyszumieć, a mężczyźni mają jakieś swoje specjalne prawa... Pani Klimaszewska trzech mężów przeżyła, to i doświadczenie musi mieć. Kiedyś, jak się o małżeństwie zgadało, powiada do mnie:

— Moja panno Justyno. życie jest życie, a nie szczęścia tyle na świecie najbardziej przez to, że kobiety głupio na świat patrzą. Mój drugi mąż, świeć Panie nad jego duszą, (nazywał się Urbanik) okropnie na kobiety był wrażliwy. Znajomi nieraz mię przez życzliwość ostrzegali, żebym męża lepiej pilnowała. A ja mówiłam sobie: lata? niech lata! Wróci on jeszcze do mnie. I wrócił. Potem go paraliż tknął i tak sobie umarł, niebożatko, na moich rękach, jak Bóg przykazał!

Trzeci mąż, Klimaszewski, strasznie się zapijał, majątek miał wcale ładny. Klimaszewska mówiła zawsze:

— Pieniądze, to grunt. Reszta głupstwo, a w jakieś tam miłości to tylko głupie gąski wierzą, dopóki ich życie doświadczenia nie nauczy. Ja, panno Justyno, trzech mężów pochowałam, to coś o życiu wiem.

Klimaszewska takie tam różne rzeczy gada, ale rozum swój musiała mieć, skoro trzech mężów gładko ukatrupiła, a każdy jej majątek zostawił.

Może to i racja, że jak się Tomek wyszumi, to się potem ustatkuje, a głupstwa chyba nie robi, bo ma przecież zdrowy rozsądek. Tylko, że ja tam wołałabym, żeby odrazu, w przyzwoitem małżeństwie, a nie, Bóg wie, po jakim...

Z tej Łodzi to musiał jakieś ważne nowiny przywieźć, bo coś o barchanach i kortach z Teofilem przy śniadaniu mówili, a Tomek ciągle powtarzał:

— Powiadam ojcu, teraz jest dobry czas.

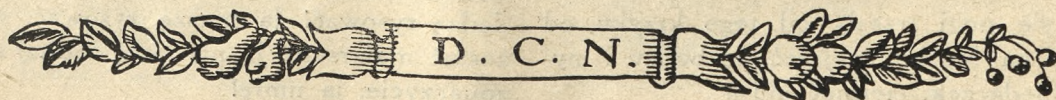
I teraz jeszcze radzą, cyfry piszą, obliczają w jadalni.

Wdzięczna jestem Tomkowi, że się za Markiem ujął. Bo jak tylko przyjechał, wyjechała na stół cała historia z cenzurą i karykaturami. Marek patrzył z podełba na ojca, to na brata. Taki się z niego zrobił teraz mruk, że ani przystęp.

Ale Tomek się tylko roześmiał i do Teofila powiada:

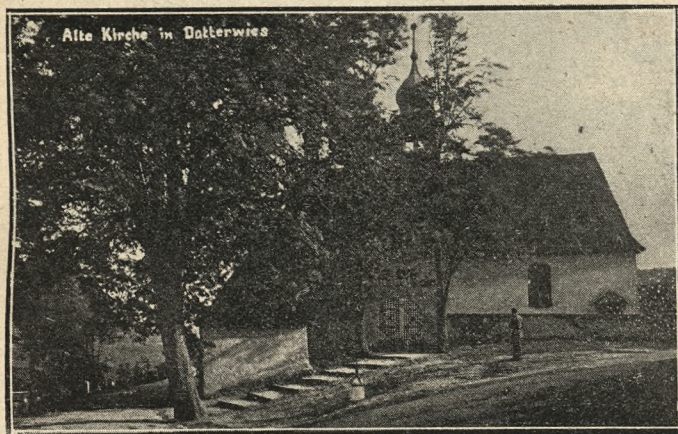
— Co tam ojciec będzie mu zakazy stawiał. Ot, powiedzieć poprostu: będzie promocja, będą te pacykarstwa — kwita!

Teofil popatrzył na Marka, który siedział bokiem i widelcem po serwecie kreślił gzygaki.



I. K. IŁŁAKOWICZ

KARLOWE WARY



Stary kościółek w okolicach Karlsbadu

Karlsbad pachnie cygarami, jaśminem i sianem. Cygara dymią tutaj bez ustanku, zatruwając zarówno najcichsze zakątki lasu, jak cukiernie i restauracje; jaśminy czają się w cieniu willi i wzdłuż dróg; jak sięgnąć okiem z pędzącego pociągu — dokoła Karlowych Warów, po najwyższe grzbiety wzgórz, wszędzie leży wędnąca naprzemian na słońcu i pod deszczem bujna, skoszona trawa. Zapach jej, słodki od miodowych kwiatów, wlecze się za pociągiem, zalewa samochody na krótkich przystankach i z każdym powiewem wiatru wpada na ulice Karlsbadu.

Upałów tutaj niema; o ile słońce trochę za nadto przygrzeje, idzie się nieco pod górę, na jakiś szczyt, czy grzbiet, i zaraz powiew zaczyna chłodzić ze wszystkich stron. Drogi idą ślimakiem, przez granatowe, zielone i czarne świerkowe i bukowe lasy, dzielnie kroczące po skałach i wbite w kamień, jak szeregi dzid. Skała jest tuż, przeziera wszędzie, wypychając na wierzch sękate korzenie drzew i zimne, dzwoniące i bełkocące źródła leśne.

Ręka ludzka dziwne w tutejszych lasach rozrzucała pamiątki. Na drzewach i przybite do skał wiszą wierszowane zachwyty nad urokiem okolicznych gór i dolin; w kilku językach uleczeni wątrobiarze opiewają swoje cierpienia i ulgi. Dalej, człowiek, uniesiony porywem uczucia—do burmistrza swego miasteczka, powiesił na drzewie blaszaną białą tablicę z dedykacją i wierszem, skierowanym do tego zacnego męża. Nieco dalej spotyka się ławkę, na której przybity widnieje napis „Ottiliensitz“, o parę metrów stamtąd — biust Piotra Wielkiego, lub Szopena. Wśród dorodnego, pysznego lasu nagle ktoś urządził skalisty „górski ogródek“, sztucznie ułożony, obsadzony kwiatami, które w głębokim cieniu nigdy nie

nabrały właściwych sobie kolorów. W całym lesie wszystko, co ustawili tutaj ludzie, jest bezwzględnie szpetne. Gorsza stokroć, oczywiście, jest dekoracja biednego Giesshübler-Sauerbrunn, który tak jest zastawiony okropnościami z „marmuru, spiżu i gipsu“, oraz terrakoty, że biedny podróżny długo potem musi jeszcze wyganiać z pamięci obrzydłe krasnoludki, sarenki, nimfy i amorki, które zaludniają park i okolice źródeł.

Po lasach, łączkach, wzdłuż i wpoprzek gór suną kuracjusze wszystkich płci i narodowości na spacer, przerywane popasami w licznych zamiejskich kawiarniach. W niektórych kawiarniach są leżaki, gdzie za opłatą kilku koron można spędzać cały dzień na dworze w lesie, lub nad rzeką. Ślicznie położona jest tuż nad rzeką Teplą kawiarnia „Freundschaftssaal“. Dolina karlsbadzka jest w tem miejscu wąska, jak korytarz, i dokładnie wysłana lasem świerkowym po obu stromych bokach. Rzeka, jeszcze tutaj nie asfaltowana i nie ujęta w kamienne brzegi ulic, szłocha i pluska po żwirze i kamykach tuż pod tarasem, mieszczącym 2300 krzeseł i orkiestrę. U samego parapetu stoją okrągłe stoliki, pod białymi parasolami, zdobnemi w deseń z czerwonej, czterolistnej koniczyny; tylko ścieżka dzieli je od trawnika z leżakami. Po ścieżce wałęsają się jedni za drugimi goście: — grubi, szczupli, bezdzietni, lub z bliźniętami, dobrze i źle ubrani, przeważnie Niemcy i Czesi, — dużo Żydów amerykańskich z eleganckimi żonami. Tak miło jest, nie ruszając się z leżaka, widzieć ten tłum, to krzątanie się czarno ubranych kelnerów, — Küchenfräulein i Obstmädchen, — wesołych, życzliwych, czystych i niezmiernie szybkich. Po całym obszarze krąży dobroduszny,



Krajobraz z okolic Karlsbadu

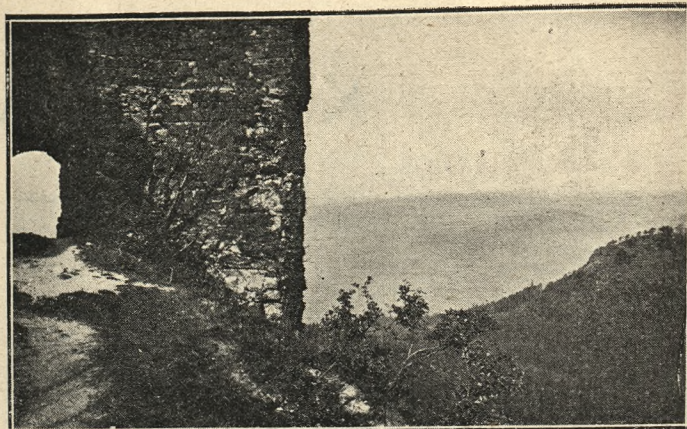
okrągły gospodarz: tu woła kelnerkę, lub sam bierze obstalunek, tam pogaduje o pogodzie, ówdzie przynosi na leżaki szale, żeby goście, broń Boże, się nie zaziębili. Można tak trwać godzinę, dwie, cztery.

Pomiędzy Freundschaftssaal, a Karlsbadem, leży jeszcze Pesthof i Richmand - Park Hotel z parkiem i łączkami, tak zasianymi kwieciami, że są, jak grzędy w kwietniku raczej, niż podobne do podleśnych łąk. Wszystko to leży na łagodnej pochyłości, która powoli przechodzi w stromy, czarno-zielony las. Siatka dróg dźwiga najdziwaczniejsze czasem postacie karlsbadzkich pacjentów. Wszystkie prawie panie zaopatrzone są w małych, grubych panów na krótkich nóżkach. „Panie same“ poza miasto nie wychodzą.— „So schön, und doch einsam!“, o tyle łatwiej usłyszeć można w mieście! Jest jednak jedna urocza kategoria pań samotnych — to stare niemki, schludne, siwe—zapewne nauczycielki na wakacjach, których przydługie suknie i starożytne kanotery zdobią wszystkie spacery okoliczne. Trudno jest w tutejszych, przetykanych wiszącymi na skałach, słupach i drzewach wierszami, okolicach powstrzymać się od kilku rymów na cześć tych miłych, łagodnych kuracjuszek,

Cztery niemki starszki, o spłowiałych oczach niebieskich, —
 kapelusze, jak ogródki, plecy proste, nogi suche, jak
 kreski —
 idą w górę (parasole, ostre łokcie) powolutku, powolutku.
 Mają cztery torebki: jedzą wiśnie — jagódkę za jagódką.



Widok hotelu Imperial



Z okolic Karlsbadu

„Ach, wie schön“... Widok, Lasy świerkowe, dębowe,
 chorągwiane.
 Ktoś dojrzał wysoką krawędź, wspiął się na palce
 i hotel postawił na ścianie,
 jak pudło na szafie.
 Teraz stoi tam wszystko: dom, kłoby, bzy, jaśminy —
 jak widoczek z rafji.

„Nein, diese Blumen!“... Na górskiej łączce, co stała
 się parkiem,
 rumianki, zasiane przez wiatr i przez wiatr pieszczone...
 Schylają się niemki-starszki, prócz jednej, ze sztywnym
 karkiem,
 i rwą kwiaty ostrożnie, jakby rwały dusze zakłete,
 kruche i strwożone.
 „Sieh mal, Irma!“... do sztywnej mówią z czułością, ciężką
 od przeprosin,
 i do stojącej na ścieżce każda plon złoto-biały z pośpiechem przynosi.

Jeszcze chwila, a łąki gasną, zwężają się i wchodzą na szeroką drogę, wiodącą do bardziej wspaniałego, niż estetycznego hotelu Puppa i dalej, wzdłuż wiedeńskiego Brauna, którego przesłiczne suknie podnoszą temperaturę schorzałych dam i nie wpływają na uleczenie niczyich kamieni żółciowych, oprócz może samego Brauna i jego rodziny. Nie, uzdrowienie napewno nie leży na tym szlaku.

Tłum pędzi do źródeł: dzwonią szklane kubki, sepleni asfalt pod niezliczonym mnóstwem podeszew, różnej grubości; wstaje kurz, rosa i księżyc. Rzeka okrywa się u szprudła welonem poszarpanej mgły, gorącej, jak oddech, i zaczyna zwykle konszachty i szepty z zapadającym wieczorem.

Karlsbad — Lipiec



Kobieta w świecie i w domu

NAJMŁODSZE AMERYKANKI

Ciekawe pole obserwacji przedstawiają dla uważnego badacza kobiety amerykańskie.

Europa zna z opinii przeważnie amerykanki bogate, córki i żony różnych „królów” przemysłowych, imponujące strojami i klejnotami, lub szukające utytułowanych mężów na kontynencie, lub jeszcze — gwiazdy filmowe, sławne z piękności i astronomicznych gaź. Poza tem utarło się przekonanie, że stanowisko kobiety w Ameryce jest tak wyjątkowo korzystne, że — nic jej wogóle do szczęścia nie braknie.

Dlaczegoż więc w tym właśnie raj kobiecym istnieje dotychczas walka o równouprawnienie, dlaczego rozwijają się setki stowarzyszeń, dlaczego działa tak intensywnie wielka organizacja „National Women party U. S. A.,” której kongres odbył się niedawno w Waszyngtonie?

Kobiety amerykańskie mają trochę inną opinię o swej sytuacji i pewno dziwią się, ilekroć dojdzie ich wieść, że w Europie traktowane są jako te, które posiadły już pełnię praw i szczęśliwości społecznej.

Przedewszystkiem, aczkolwiek konstytucja przyznała kobiecie równouprawnienie polityczne, istnieje tyle poszczególnych ustaw w innych stanach, prawo zaś, wzorowane na starych kodeksach angielskich, przedstawia tyle wątpliwości i sprzeczności, zwykle na niekorzyść kobiety komentowanych, że w tym jednym tylko kierunku Narodowa Partja Kobiet Stanów Zjednoczonych ma do przeprowadzenia b. dużo jeszcze reform i nieustannie o nie walczy.

Podrugie, o ile prawo i obyczaj stają zawsze w obronie kobiety w zakresie stosunku do niej mężczyzny, o ile chodzi o miłość lub małżeństwo; o ile jest ona w stosunkach towarzyskich tak swobodną władczynią, że — jak twierdzą dowcipnicy, — każda kobieta może na ulicy skinąć na pierwszego lepszego pana, jak na posłańca, aby zaniósł jej paczki, lub spełnił jakiegokolwiek polecenie, — o tyle w zakresie interesu, pracy, walki o byt, sprawa wcale nie przedstawia się tak różowo. Na tem polu ani prawo, ani zwyczaj nie zna żadnych dla kobiet względów. Amerykanin jest nato zadobrym businessmanem i zadużo potrzebuje pieniędzy dla... swojej żony, lub córek, aby ustępować w interesach, tak jak ustępuje w życiu rodzinnym i towarzyskim. Fakt, że kobieta, zasadniczo równouprawniona, posiadająca równe mężczyźnie wykształcenie ogólne i zawodowe, trudniej znajduje zajęcie, gorzej jest płatna, nie awansuje tak, jak mężczyzna, zajmuje przeważnie niższe stanowiska w handlu, przemyśle, urzędach etc. — jest tu powszechnym zjawiskiem. Głośno jest o tych kobietach, które, dzięki wyjątkowemu talentowi, wybijają się na czołowe miejsca, ale są to jedynie wyjątki.

Tylko że Amerykanki nie przyjmują tego stanu rzeczy z uległością, lub niedołęstwem, lecz zwalczają go z całą energią i konsekwencją, a co najważniejsze, pracują na tem polu młode siły. Podczas gdy w Polsce olbrzymia większość młodych kobiet pozostaje obojętną na swoje prawa, twierdząc, że posiada już wszystkie (o czem też dużo jeszcze dałoby się powiedzieć) i — nie wiele z posiadanych korzystając, tam przeciwnie: w National Women Party np. najczynniejsze są młode siły, wysuwające w obradach niezmiernie ciekawe zagadnienia i postulaty, i to zarówno z zakresu życia publicznego, jak i rodzinnego.

Na jednym z końcowych zebrań waszyngtońskiego kongresu wystąpiły właśnie trzy członkinie z liczby tych najmłodszych, a przemówienia ich i wnioski wywarły głębokie wrażenie.

Pierwsza, Miss Nina Allender, oświadczyła, że sprawa pełnego równouprawnienia jest najbardziej palącą właśnie dla młodzieży, od niej bowiem zależy byt i szczęście rodziny. Tam, gdzie pożycie małżeńskie oparte jest na wspólnej i równej pracy męża i żony, na wspólnej i równej trosce i staraniach o wychowanie dzieci, opartych na zupełnie równych do dzieci tych prawach, tam jedynie istnieje zdrowa i szczęśliwa rodzina, stanowiąca podwalinę normalnego, zdrowego społeczeństwa.

W imię tego ideału wystąpiła p. Allender z całą energią, przeciw temu właśnie typowi kobiety amerykańskiej, który tak głośny jest w Europie, przeciwko owej, jak ją nazwała, „luksusowej zabawce”, spędzającej życie na strojach, zabawach, ekscentrycznych podróżach i... wyciąganiu pieniędzy od jednego, lub kilku pokolei mężów. Te kobiety nie stworzą nigdy rodziny i będą zawsze kulą u nogi normalnego rozwoju przyszłości,

Dруга mówczyni, Ruth^o Hudnit, — studentka filozofji, żona jednego z młodszych profesorów uniwersytetu, [gorącego] zwolennika równouprawnienia, — przedstawiła ciekawy rozwój typu kobiecego w najnowszej literaturze amerykańskiej. Miss^o Hudnit pracuje zawodowo w zakresie krytyki literackiej i, czytając z obowiązku wszystkie nowości, ukazujące się na rynku księgarskim, zrobiła sobie charakterystyczne wyczerzenia statystyczne. Wynika z nich, że prawie połowa wydanych w ostatnich latach powieści i nowel przedstawia bohaterki, dążące do niezależności materialnej drogą własnej pracy, szukające w miłości i małżeństwie nie flirtu, zadowolenia próżności, lub kariery, lecz życia, opartego na równych prawach i wysokiego ideału dobrej rodziny. Dwie trzecie tych bohaterek cel swój osiąga, wychodząc zwycięsko z trudnej walki o byt i prawa.

Czwarta część przedstawionych w powieściach postaci, to matki, zarabiające na utrzymanie dzieci, niektóre — na utrzymanie całego domu. Pięć szóstych tych książek napisanych zostało przez kobiety i to wyłącznie kobiety młode. Psychologja postaci, dokładność i bezpośredniość obserwacji życiowej stoi w tych utworach bardzo wysoko, a wiele wyżej — zdaniem Miss Hudnit, — niż w powieściach tego samego typu, pisanych przez autorów-mężczyzn.

Wkońcu zabrała głos ostatnia już, najmłodsza, 29 letnia Miss Betty Archdal, która po ukończeniu szkoły nauk politycznych zamierza poświęcić się karierze parlamentarnej. W przemówieniu swem Miss Archdal położyła główny nacisk na rolę kobiet w sprawie powszechnego pokoju. Tylko wtedy, gdy kobieta uzyska, nie jak dziś formalnie tylko przyznany, lecz istotny wpływ w polityce państwowej, ideał powszechnego pokoju i braterstwa narodów stanie się rzeczywistością.

Tak więc zwalczanie bezmyślności, flirtu i próżniactwa, osiągnięcie równych praw moralnych i materialnej niezależności kobiety, stworzenie wzorowego życia rodzinnego i dążenie do powszechnego pokoju — to postulaty naczelné w działalności „National Women Party,” wymownie wyrażone przez usta jej najmłodszych działaczek.

N. J.

NĘDZA KOBIET I DZIECI W CHINACH

Nigdzie na świecie nędza kobiet i dzieci nie jest tak wielka, jak w Chinach, nieszczęsnym kraju, tak haniebnie wyszukiwanym przez Europę.

Raport angielskiej komisji do badania stosunków chińskich w r. 1923 stwierdza, że do miejscowych fabryk papieru i zapalek angażuje się dzieci, począwszy od lat 5. Dzieciaki te, zatrudnione po 13 do 14 godzin na dobę, otrzymują miesięcznie 2 do 3 szylingów.

Młodziutkie dziewczęta wśród zabójczych wyziewów fabrycznych spędzają dnie całe, skulone nad robotą. Rodzice ich nie tylko nie są w stanie zaradzić temu, ale często sami sprzedają swoje córki do domów rozpusty, — a zmusza ich do tego niesłychana, czarna nędza.

Wiele rodzin chińskich, których wszyscy członkowie^o zajęci są pracą, zarabia rocznie na osobę zaledwie 10 dolarów, podczas gdy zaspokojenie minimalnych potrzeb człowieka wymaga przynajmniej 30 dolarów rocznie.

Prawa, wydane w r. 1923, mające na celu ochronę pracy kobiet i dzieci, dotychczas nie zostały jeszcze wprowadzone w życie. W r. 1924 robotnicy chińscy, mężczyźni, kobiety i dzieci pracowali jeszcze 357 dni w roku.

Kobiety z dziećmi na plecach pracują w fabryce i, nie przerywając roboty, karmią niemowlę piersią. A dzieje się to wśród atmosfery tak okropnej, że zwiędzający już po kilku minutach czują, iż płuća mają wysuszone!

Po powrocie do domu z tego piekła, kobietę czeka praca przy gospodarstwie. W większości mieszkań ludzi ubogich niema nawet komina i przy gotowaniu potraw gryzący dym ściele się po izbie.

Nic dziwnego, że kobieta, żyjąca w takich warunkach, nie mając jeszcze lat 30-tu, jest sterana życiem i wygląda na staruszkę.

R. C. H.

DZIAŁALNOŚĆ KOBIET W CHINACH

Kuo-Min-Tang, partja narodowo-ludowa w Chinach, w myśl swoich przekonań liberalnych, stara się poprawić ciężkie położenie kobiety chińskiej.

Ulegając wpływowi i namowom pani Sun-Yat-Sen, wdowy po wielkim patriocie chińskim, partja ta niedawno uchwaliła rezolucję, domagającą się równouprawnienia chinek na polu pedagogicznym, ekonomicznym i politycznym.

Kobięcy Instytut Polityczny w Hankou przyjmuje czynny udział w opracowaniu nowej konstytucji chińskiej, któraby w najszerszym zakresie uwzględniła prawa kobiet w kraju Konfucjusza.

R. C. H.

JESZCZE JEDEN JUBILEUSZ

21 lat temu, 21 czerwca 1906 roku, pierwsza sufrażystka angielska została aresztowana i osadzona w więzieniu. Była nią miss Teresa Billington, dzisiejsza pani Greig, na której ręka sprawiedliwości spoczęła z powodu demonstracji kobiet przeciwko ówczesnemu rządowi, przed pałacem lorda Asquita na Cavendish Square. Młoda bojowniczka o prawa kobiece broniła się dzielnie zapomocą parasolki i ostrych pazurków; uległa jednak przed męską przemocą w postaci policjanta, który, nie okazując najmniejszej sympatii dla sprawy płci pięknej, odprowadził zakłóciicielkę spokoju publicznego do więzienia.

Tu, w celi-separatce, uczenica i wyznawczyni zasad „Mamy Pankhurst” zjadła samotnie obiad.

Na pamiątkę owego więziennego obiadu, panie londyńskie urządzają corocznie w dniu 21 czerwca uroczysty bankiet. W bankietach tych brała udział już niejedna ofiara teroru męskiego, odsiadująca karę więzienia za swój bojowy stosunek do sprawy emancypacji kobiet w Anglii.

R. C. H

„NOSIŁ WILK RAZY KILKA”...

Kobiety tureckie, od czasu wyzwolenia swojego z zacisza haremowego przez Kemala Baszę, starają się łączyć w organizacje, w celu dalszego wywalczenia sobie praw, aż do pełnego równoprawnienia.

Oczywiście, turcy, którzy doniedawna widzieli w kobiecie tylko niewolnicę, nie mogą się oswoić z takim nowym stanem rzeczy i starają się przeciwdziałać jego dalszemu rozwojowi.

Profesor Redsin Eldin Sadrib bey jest zdecydowanym wrogiem dalszego emancypowania się swoich rodaczek, dowodząc na łamach pism i na wykładach swoich, że rozwój umysłowy turczynek nie stoi jeszcze na wysokości żądanych przez nie reform.

Przeczytawszy te nieciekawe wywody profesora, pewna ex-mieszkanca haremu zapłonęła świętym ogniem oburzenia i... zaskarżyła wstecznego profesora do sądu o obrazę wszystkich kobiet w Turcji.

Trybunał sądowy w Konstantynopolu uznał skargę powódki za uzasadnioną i skazał profesora na pięć miesięcy więzienia.

Tak więc kobieta, dawniej zamykana w haremie, obecnie sama zamyka swego dawnego „zamykacza” do kozy.

„Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka”.

PILOTKA FRANCUSKA

W szybkim rozwoju lotnictwa kobiety biorą udział, jeżeli nie na równi z mężczyznami, co do liczby, to w każdym razie te, które poświęciły się niebezpiecznemu zawodowi, nie ustępują swym kolegom odwagą i zręcznością. Niedawno wszystkie pisma doniosły o zamiarze przelotu nad Atlantykiem lotniczki niemieckiej Thei Rasche. W kilka dni potem rekord wysokości w Anglii zdobyła kobieta. Obecnie mamy znów do zanotowania sukces lotniczki francuskiej.

Na skutek energicznych starań panny Adrjanny Bolland Międzynarodowa komisja do spraw lotnictwa zniósła, uchwalone przed paru laty przez międzynarodowy zjazd lotniczy w Londynie, prawo, zabraniające kobietom jazdy z pasażerami i wykonywania zawodu pilotek.

Było to, doprawdy, oburzające,—mówi panna Bolland,—że mężczyźni;—sami ledwie stawiający pierwsze kroki w lotnictwie—już zabronili doń wstępu kobietom!—Ale energiczna niewiasta nie dała za wygraną. Najpierw wytoczyła proces rządowi francuskiemu, którego przedstawiciel na konferencji londyńskiej dopuścił do uchwały, która p. Bolland pozbawiła chleba! Rząd francuski był tak uprzejmy, że udzielił p. Bolland pozwolenia na jazdę w obrębie kraju, a gdy wyjeżdżała zagranicę, ułatwiał jej każdorazowo otrzymanie specjalnego pozwolenia od danego państwa. Ale boże dzielna lotniczka zasługiwała na pomoc. Panna Bolland pilotuje już od 6 lat; w 1920 r. ukończyła szkołę lotniczą w Ameryce Południowej i wtedy na ówczesnym — o ile gorszym,—samolocie przeleciała ponad Andami, na 4 tysiące metrów wysokości, wśród mgły i wichury!

Obecnie lata na swoim własnym aparacie, niestety — z braku większych środków,—na bardzo skromnym, którego zapas benzyny starczy zaledwie na 300 kilometrów. Nie brak jej nigdy pasażerów, zarówno na dalsze dystanse — jak na loty spacerowe nad miastem i okolicą, których odbywa nieraz po 10 — 23 dziennie.

Zapytywana przez dziennikarzy, co sądzi o rozwoju lotnictwa, panna Bolland odparła, że, jej zdaniem, jest to kwestja pieniędzy i tylko pieniędzy. Przyjemnie jest lecieć aeroplanem, ale aby podróż taka była naprawdę bezpieczną i naprawdę szybką, otnictwo musi być ogromnie ulepszone, bo dziś jest jeszcze w powija-

kach. Co znaczy szybkość 300 i 500 kilometrów na godzinę—jeśli zajdzie wypadek i trzeba wylądować w polu, daleko od miasta i kolei — i spóźnić się gorzej, niż najpowolniejszym pociągiem! I kto może używać środka lokomocji, któremu przeszkadza wiatr i mgła! Trzeba więc przedewszystkiem zaopatrzyć każdy samolot w zapasowe motory, trzeba, wzdłuż linii powietrznych, zbudować na ziemi częste stacje lotnicze na wypadek przymusowego lądowania i wiele innych udoskonaleń. A na to wszystko trzeba olbrzymich środków. To też lotniczka francuska twierdzi, że Ameryka ze swymi olbrzymimi funduszami—pierwsza udoskonali komunikację lotniczą.

N. J.

CZY POCAŁUNEK BEZ POZWOLENIA JEST KRADZIEŻĄ?

Taką kwestję prawną miały niedawno do rozstrzygnięcia sądy w Medjolanie. Została ona rozwiązana dopiero po dwu latach sporów, debat i zawiłych dociekań włoskich prawników.

Przed dwoma laty bowiem młoda i piękna pani R. podróżująca w towarzystwie rodzzonego męża, zapragnęła odebrać swój bagaż, oddany do przechowania na dworcu kolejowym, i gdy zwróciła się z kwitem do urzędnika, ten, nie troszcząc się o jej walizę, bez pytania, zuchwale, beczelnie, ni z tego, ni z owego... pocałował ją w same usta.

Dama, ucałowana tak znienacka, musiała być b. młoda i niedoświadczona, gdyż natychmiast, roztrącając po drodze tłum, rzuciła się ze skargą do naturalnego swojego obrońcy, t. j. do męża.

Mąż nie zadowolnił się doraźnym wymierzaniem sobie sprawiedliwości zapomocą potężnego kopnięcia śmiałka, ale sprawę o kradzież pocałunku skierował do sądu.

W pierwszej instancji oskarżony sprawę wygrał; przyszedł jednak apelacje, kasacje... słowem wkońcu sprawiedliwości stało się zadość: krewki lombardczyk został skazany na dwa tygodnie aresztu.

Czyż obrona cnoty niewieściej musi się odbywać z takim trzaskiem i hałasem? Czy nie prościej było własną, wysportowaną dłońią „własnoręcznie” zlikwidować całą tę sprawę? R. C. H.

PRACA ZAWODOWA KOBIEC I MAŁŻEŃSTWO

Przeprowadzona obecnie przez Stowarzyszenia kobiece w Bawarii, oparta na urzędowych źródłach, statystyka, dotycząca życia kobiet pracujących zawodowo, dała bardzo ciekawe wyniki. Na 100 kobiet, które, pracując zawodowo, zawarły związki małżeńskie, 70 procent zrobiło t. zw. „dobre partie”, poślubiając mężczyzn, wyższych stanowiskiem, poznanych na terenie wspólnej pracy. Ogólnie kobiet pracujących wychodzi tam zamąż mniej, niż czekających beczynnie na mężów panien na wydaniu, ale zato większość małżeństw owych pracownic są to małżeństwa szczęśliwe: procent rozwodów jest wśród nich minimalny. Pisma kobiece podnoszą te fakty, jako niezmiernie ważne. Kobieta pracująca, niezależna, mniej wprawdzie skwapliwie dąży do małżeństwa, nie będąc do niego zmuszoną materialnie, ale zato lepiej wybiera towarzysza życia, wychodzi za człowieka równego sobie umysłem, charakterem i tworzy z nim dobrane i szczęśliwe stadło.—Kto wie,—mówi jeden z dzienników,—czy całe upragnione odrodzenie życia rodzinnego, tak nadszarpniętego w ostatnich czasach, nie zacznie się w tych właśnie rodzinach.

N. J.

PRAWO O OCHRONIE MACIERZYŃSTWA W NIEMCZECH

Parlament niemiecki uchwalił w dniu 7 lipca prawo o rozszerzonej ochronie macierzyństwa. Zabezpiecza ono kobietę, zwalniając ją od pracy na 6 tygodni przed i 6 tyg. po urodzeniu dziecka. Jeżeli pracownica po połogu wpadła w dłuższą, spowodowaną nim chorobę, pracodawca obowiązany jest przedłużyć jej urlop płatny aż do wyzdrowienia. Koła kobiece niemieckie krytykują to prawo z tego względu, że obejmuje ono jedynie urzędniczki, pracownice i robotnice miejskie. Nie rozciąga się na robotnice rolne, ani pracujące w przemyśle rolnym — jak w mleczarniach miejskich, ogrodnictwie i t. p.

Jak już pisaliśmy w tem miejscu, Amerykanki występują obecnie przeciw ochronie macierzyństwa. W tych dniach właśnie delegatki Kongresu w Colorado Springs, członkinie Narodowej partji kobiet, udają się do bawiącego na letnich wywczasach w Black Hills prezydenta Coolidge'a, w celu przedstawienia mu uchwały kongresu i skłonięcia prezydenta do zajęcia przychylnego stanowiska wobec nowych postulatów Nar. partji kobiet, obejmujących b. szeroki zakres zmian prawodawczych.

N. J.



„Mlle France” najpiękniejsza kobieta Francji, nagrodzona na konkursie piękności w Ameryce

STULETNI MATRONA BOJOWNICZKA RÓWNOUPRAWNIENIA

Z wielką uroczystością obchodzono w szerokich kołach politycznych i towarzyskich Londynu setną rocznicę urodzin pani Fryderyki Pennington, znanej pod nazwą „Grand old Woman”. Ta wyjątkowa pod każdym względem kobieta była w Anglii jedną z najpierwszych bojowniczek równouprawnienia, o wiele wcześniej niż dotychczas.

Zona posła do parlamentu stronnictwa liberalnego, przyjaciela Gladstone’a i Bright’a, założyła wraz z kilku innymi paniami, jeszcze za panowania królowej Wiktorji, tak zwany „wek and hen club”, znany i głośny dziś „Albemarle Club”, którego członkinią jest dotychczas.

Pomimo swoich postępowych przekonań, jest pani Pennington ogromną zwolenniczką dobrych tradycji. Dom jej, którego rządy sprawuje ta staruszka z niesłabnącą energią, jest wzorem zacności, kultury i życia rodzinnego. A rodzina jubilatki jest olbrzymia. Pani Pennington, córka pastora dr. Sharpe, pochodzi z rodu, szczytującego się posiadaniem licznych potomków: była 14 z rzędu dzieckiem swych rodziców i sama utrzymała tę tradycję. W dniu jej setnych urodzin otoczyło ją 447 dzieci, wnuków, pra i praprawnuków!

Jak już powiedziano wyżej, p. Pennington zarządza sama całym domem, przyjmuje często licznych gości, wyjeżdża codzień na długi spacer, i to tylko w najgorszą pogodę zakrytym automobilem, zawsze zaś otwartym; prowadzi rachunki i ogromną korespondencję, czytuje trzy dzienniki, robi szydełkiem i szyje (bez okularów) drobne podarki dla wnucząt; gra wieczorami w bridge’a, śpią tylko 9 godzin na dobę, a pozostałe 15 od rana do wieczora spędza w nieustannym ruchu i zajęciu! Nic dziwnego, że cała Anglja wzięła udział w uczczeniu swej „Grand old Woman”.

N. J.

EDISON JAKO ZWOLENNIK OBECNEJ MODY

Genjalny wynalazca, sędziwy „czarodziej z Menlo Parku” Edison, wypowiedział się niedawno o—dzisiejszej modzie i oświadczył się z całym dla niej uznaniem.

Kobiety dzisiejsze,—mówi Edison,—zrozumiały wymagania higieny: Nie zamiatają sukniami ulic, nie uciskają najważniejszych organów gorsetami, nie obciskają się, jak dawniej, całymi kilogramami fiszbinów, stulek, sztywnych podszewek, ciężkich, jak kajdany, bransolet i łańcuchów; nie przekłuwają, jak murzynki, uszu, aby w nich zawiesić jeszcze jeden ciężar więcej. Ubranie ich waży zaledwie gramy, daje swobodę ruchów i przystęp słońcu i powietrzu, a zachowując naturalną linję postaci, jest najbardziej estetyczną!

N. J.

IRLANDZKA JOANNA D'ARC

W dniu 15 lipca w jednej z klinik w Dublinie zmarła, w następstwie operacji ślepej kiszki, hr. Konstancja Dunin-Markiewiczowa, z domu Gore-Booth. Śmierć tej niezwyklej kobiety okryła żałobą Irlandję, która czciła Markiewiczową, jako najgorętszą patriotkę, najdzielniejszego z powstańców i wodzów ruchu sinnfeinistycznego, nadając jej miano irlandzkiej Joanny d'Arc. Życie jej było jednym pasmem przygód i walk o wolność irlandzkiego narodu a działalność jej nawet w przeciwnikach politycznych budziła wysoki szacunek.

Panna Konstancja, Georgina Gore Booth przyszła na świat w starożytnym zamku irlandzkim, posiadłości starej rodziny szlacheckiej. Ojciec jej, Wiliam, prowadził surowy, purytański tryb życia, od lat wielu nie opuszczając swej siedziby. Młodziutka Konstancja rwała się do świata, do czynu, do życia szerokiego, ciągnącego ją nieprzepartym urokiem, nie mogąc wytrwać w cichej, klasztornej atmosferze staroświeckiego domu. Świetna amazonka, mistrzyni jazdy konnej, spędzała nieraz długie godziny na dalekich spacerach, stanowiących jedyną jej rozrywkę. Drugą—stały się wkrótce studia malarskie, do których okazywała wielkie zdolności i zamiłowanie.

Natura żywiołowa, gwałtowna, obdarzona—przy wielkiej inteligencji—ogromnym temperamentem i silną wolą, potrafiła wkońcu zwalczyć arystokratyczne przesady rodziny i, jako osiemnastoletnia panna, wyjechała do Paryża, gdzie wstąpiła do akademii sztuk pięknych. Tam, biorąc żywy udział w życiu kolonji artystycznej Montparnasse, poznała kolegę-malarza, polaka, hr. Kazimierza Dunin Markiewicza, którego wkrótce poślubiła. Państwo Markiewiczowie zamieszkali odtąd w Dublinie, i pani Konstancja oddała się całą duszą sprawie sinnfeinu. Wolność Irlandji i sprawa reformy społecznej stały się nie tylko celem jej życia, ale formalnym polem walki, z którego kierowała temi sprawami z niezwykłą energią, wybitnym zmysłem politycznym i darem organizacyjnym, nie szcędząc nikogo, ani siebie, ani majątku. Były czasy,—jak potem z wesołym uśmiechem opowiadała — takiej biedy, że małżonkowie jadaliby obiady „kolejno”: jednego dnia ona, drugiego — mąż. Ale podczas tego zamek jej dziedziczny zamieniony był na szpital i przytułek dla najbiedniejszych.

Dom Dunin-Markiewiczów był w Dublinie ośrodkiem życia politycznego i artystycznego — gdyż pani Konstancja znajdowała zawsze czas dla swej umiłowanej sztuki.

Z chwilą wybuchu rewolucji irlandzkiej zaciągnęła się Dunin-Markiewiczowa do walki w szeregach sinn feinu. Otrzymała stopień oficerski i oddział 120 ludzi, którymi dowodziła, wzbudzając podziw swoją odwagą i zdolnościami wojskowymi. Twierdzono, że wybuch rewolucji i długotrwałość walki były w znacznej mierze jej dziełem.

Oddział jej poddał się anglikom ostatni; odbyła się wtedy wzruszająca scena: — zmuszona do oddania broni, z którą tak dzielnie walczyła, ucałowała Markiewiczowa swój rewolwer,—jak niegdyś Napoleon swoją szablę,—przed oddaniem go w ręce wrogów. Aresztowana, skazana na śmierć przez sąd wojenny, została ułaskawiona w ostatniej chwili. Trzymano ją jednak w więzieniu, z którego trzy razy próbowała ucieczki. Uwolniona wreszcie na skutek ogólnej amnestji, została wybrana, jako pierwsza kobieta, do izby gmin w 1918 r. Nie weszła jednak do parlamentu, odmówiła bowiem złożenia w Westminsterze przepisanej posłom przysięgi na wierność Anglii. W r. 1920 stała pani Markiewiczowa poraz drugi przed sądem wojennym, oskarżona o organizację powstania de Valery. Skazana znów na więzienie, zostaje uwolniona na skutek aktu 6 grudnia 1921 r., nadającego autonomję Irlandji.

Od tego czasu poświęciła się dzielna rewolucjonistka znów pracy politycznej i społecznej w nowych warunkach konstytucji krajowej, do której zdobycia tyle się przyczyniła.

Złośliwa choroba,—gwałtowne zapalenie ślepej kiszki—zabrała ją w sile wieku, pomimo najtroskliwszych starań i energicznego ratunku. Ułoża jej czuwalni: mąż i towarzyszy walki, wódz irlandzkiego powstania, de Valera.

Pani Markiewiczowa bawiła kilkakrotnie w Polsce, interesowała się gorąco ojczyzną męża i otaczała ją wielką sympatją.

Cześć pamięci tej naszej serdecznej przyjaciółki, bohaterki walk o wolność irlandzkiego narodu
N. J.

KOBIECE ZAWODY LEKKO ATLETYCZNE O MISTRZOSTWO POLSKI

Tegoroczne lekko atletyczne zawody pań o mistrzostwo Polski należą do wyjątkowo udanych, tak pod względem ilości zgłoszonych zawodniczek, jak i samych wyników.

Zawody te wykazały dobitnie, że lekka atletyka pań nie jest u nas tylko wytworem mody, lecz koniecznym czynnikiem wychowawczym młodych dziewcząt, celem wyrobienia w nich zdrowia, oraz moralnej i fizycznej tężyzny.

Niezmiernie pocieszającym objawem jest współudział prowincji, gdzie rozwój sportów nie pozostaje w tyle poza stolicą.

W zawodach poznańskich, które odbyły się na boisku Warty, —poza trzema klubami z Warszawy—brały czynny udział przedstawicielki Krakowa, Poznania, Torunia, Łodzi i Górnego Śląska. Wyniki przeszły wszelkie oczekiwania. Osiągnięte zostały dwa rekordy światowe i siedem krajowych. Kobięca lekka atletyka, szczególnie w rzutach, okazała się na poziomie pierwszej europejskiej klasy. Zawodniczki nasze zajmują tu znacznie lepsze stanowisko, niż zawodnicy; to też nie trzeba dowodzić, jak dalece pomyslnym dla nas faktem jest uchwała międzynarodowego komitetu olimpijskiego, wprowadzająca konkurencję lekkoatletyczną kobiet do programu Olimpiad.

Sportsmenki polskie bezwątpienia skwapliwie z tego skorzystają na przyszłość. Główną bohaterką zawodów poznańskich była chluba naszej lekkiej atletyki kobiecej, dzielna i niezawodna Halina Konopacka, której w udziale przypadły oba rekordy światowe.

Pierwszy jej triumf, to rzut kulą oburącz, w którym osiąga 18 mtr. 44 cm., czyli bije rekord światowy o 25 cm.

Drugie zwycięstwo, to rzut dyskiem oburącz, w którym uzyskuje 60 mtr.

Brawo, polskie sportsmenki! brawo, Konopacka! R. C. H.



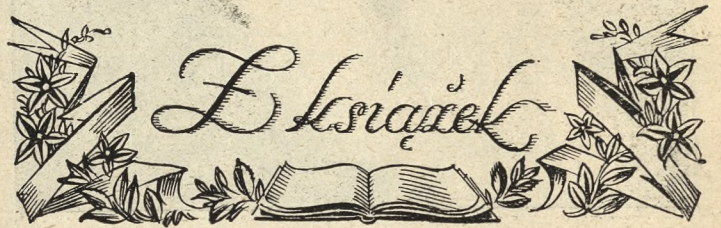
p. Halina Konopacka, główna bohaterka zawodów poznańskich

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani Jadwidze W. w Zakopanem. Za słowa uznania serdecznie dziękujemy. Co do dalszych pomaturalnych planów córki Szan. Pani, nic narazie powiedzieć nie możemy, nie znając jej zdolności, ani upodobań. Możeby Szan. Pani była łaskawa dostarczyć nam dokładniejszych informacji w tym względzie, wówczas z całą pewnością będziemy mogli coś doradzić. O ile Pani jest stałą czytelniczką „Bluszczu”, to pewne wskazówki dadzą się zaczerpnąć z artykułu Z. Miszewskiej „Kobieta, a uniwersytet” (24-ty Numer „Bluszczu”). W najbliższym czasie zamieścimy jeszcze szereg artykułów, dotyczących wykształcenia pomaturalnego (szkoły zawodowe, gospodarze i inne).

Wiga. Zaiste, że jest nam trudno odpowiedzieć. To, co Pani przysłała, właściwie nie ma formy—to znaczy: ściśle określonych ram tematu. Wszystko wylewa się przez brzeg. Natężenie twórczości b. silne. Szczerze radzilibyśmy dążyć do jakiegoś konkretnego: opracować poszczególne zagadnienie — chociażby na drodze filozoficznego dociekania, które, zdaje się, najbardziej Pani odpowiada. Wiersze słabe. Czy nie próbowała Pani, np. noweli? A w jakim stanie znajduje się lektura? Najgoręcej polecamy świetną młodą prozę: Kaden, Nałkowska, Dąbrowska, Kuncewiczowa, Wołoszynowski, Szelburg. Jeśli napisze pani coś niedużego — coby miało „wymiar”, wyraźną myśl, b. opracowany swój, indywidualny język — proszę przysłać. Z tak silnie skondensowanego postanowienia roboty musi coś wyniknąć.

P. S. Ze wszystkiego najbardziej nam się podobał list. Właśnie jego rzekoma chropawość i kańcistość. Niech Pani spróbuje tej formy w prozie.



Helena Duninówna. „O czym mówiły jaskółki”. Biblioteka książek różowych. E. Wende i S-ka, Warszawa

Pisanie książek dla małych dzieci jest sztuką nielada, bo to i treść musi być specjalna, bardzo specjalnie dobrana i forma winna być lekka i przystępna dla dziecięcych umysłów.

Książka p. Duninówny o ptaszęcych wyprawach do „ciepłych krajów”, o okropnych, lecz szczęśliwie zakończonych, przygodach czupurnej Ciapki-jaskółki odznacza się bardzo miłą treścią, na której dnie wyczuwa się tendencje autorki do rozbudzenia w dziecięcych serduszkach przywiązania do ziemi rodzinnej. Natomiast forma wyłamuje się częstokroć z ram „łatwości”, w jakich powinna pozostać, dając np. opisy egzotycznej przyrody, cokolwiek za trudne dla młodocianych czytelników. Ot, pro prostu, unosi autorkę zapal pisarski i zaczyna patrzeć na wszystko za bardzo „dorosłymi” oczami.
Zofja Miszewska.

Melchjor Wańkowicz. „W kościołach Meksyku”.

Nakład Tow. Wydawniczego „Rój”—Warszawa 1927 rok.

Książka ta, to garść wrażeń autora z podróży po kraju Wielkiej Awantury, jakim jest Meksyk.

Jest w niej wszystko: i historyczna przeszłość tego dziwnego kraju, i jego przyroda, i ustrój społeczny, ludzie, obyczaje, rząd, a między tę całą rzeczywistość życia meksykańskiego wplecione umiejętnie i kunsztownie trochę sentymentu i bardzo, ale to bardzo dużo subtelny humoru. Po przeczytaniu tej książki od razu wyczuwa się, że pisał ją dziennikarz, „par excellence”. Tak w niej niema nic z literackiego balastu, a tak jest wszystko, co potrzeba, by rzucić przed oczy czytelnika jaknajbardziej wypukły obraz tego ciekawego, a przynajmniej, mało znanego kraju. Z. M.

XIX MIĘDZYNARODOWY TARG PARYSKI

Kilkaset pawilonów, namiotów, nawet zwykłych kramów, rozłożyło się na placu wystawowym przy „Porte de Versailles”. To „XIX Foire internationale de Paris”, (coprawda, mało „międzynarodowy”) napęłniał wrzawą i ruchem ten kraniec Paryża. Zewnątrz robiło to wrażenie zwykłego jarmarku, lub kiermaszu: sprzedający zachwalali swój towar, starając się przekrzyknąć nawzajem, publiczność tłoczyła się w ciasnych uliczkach; brak było estetyki w zewnątrznym urządzeniu. Można było jednak widzieć dużo ciekawych rzeczy, a w dziale meblowym i sztuki dekoracyjnej, — eksponaty o wysokiej wartości artystycznej. Mnie interesowały specjalnie przedmioty i wynalazki, mające zastosowanie w gospodarstwie kobiecym.

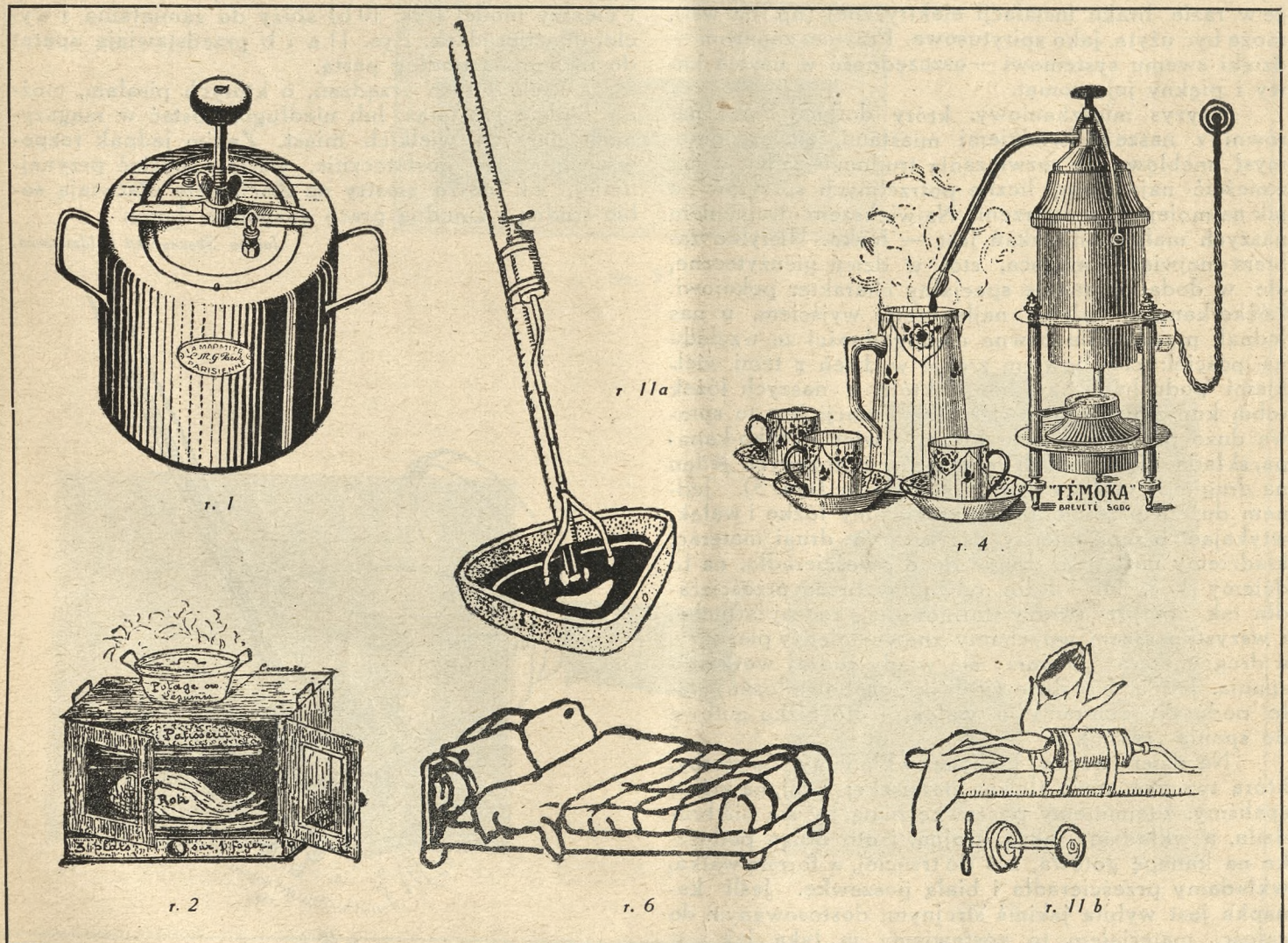
Dzisiejsze ciężkie czasy zmuszają wiele pań do obywania się bez służącej; szczególnie w wielkich miastach jest to zjawiskiem coraz pospolitszem. Zmusza to do wynajdywania sposobów, ułatwiających pracę około kuchni i domu, przyjmowanych chętnie przez młode, zwłaszcza, gospodynie, które, wśród starań o zdrowie i wygody najbliższych, nie chcą wyrzekać się swych upodobań artystycznych, czy naukowych, swej godziny rozrywki, lub przechadzki.

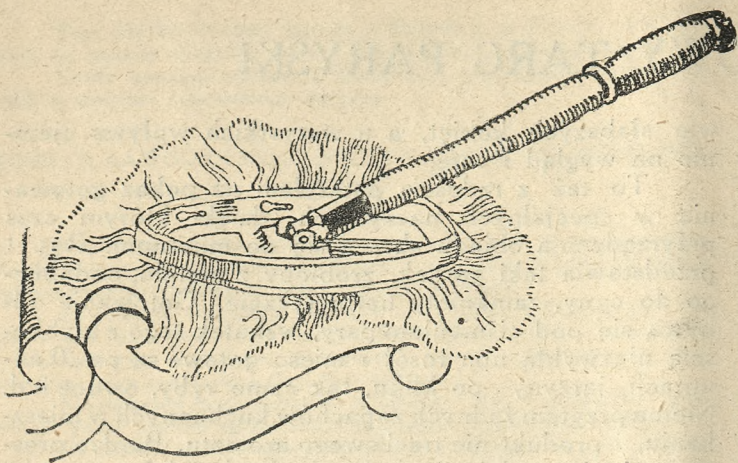
Szczególnie przykre jest gotowanie — to stanie kilkunastogodzinne przy kuchni, które niszczy siły i zdro-

wie słabszych kobiet, a u wszystkich wpływa ujemnie na wygląd i cerę.

To też z radością patrzyłam na pokaz gotowania w specjalnych naczyniach, dzięki którym czas przyrządzenia obiadu skraca się do minimum. Rys. 1 przedstawia taki garnek, zrobiony z metalu, podobnego do cyny, zamknięty hermetycznie. Gotowanie odbywa się pod ciśnieniem pary, wskutek tego z szybkością niezwykłą np.: rosół i mięso gotowe są po 20 minutach, jarzyny — po kilku, tak samo ryby, owoce it.d. Niema przytem żadnych zapachów kuchennych w mieszkaniu, i produkt nie traci swego aromatu. Bardzo prosty w użyciu, nadaje się do każdej kuchni, lub maszynki. Wysoka stosunkowo cena (80 fr. za 3 litrowy), opłaci się zupełnie, jeśli zważymy oszczędność opału, no i przedewszystkiem — czasu. Z kilku typów takich garnków najprostszym wydał mi się „Marmite parisienne”. „Le Four Parisien” (rys. 2), jest to znowu piecyk, który stawiamy na wszelkiego rodzaju maszynki, czy kuchenki, i gotujemy od razu cały obiad (ale już w zwykłym czasie). Dogodny także przez to, że można w nim wszystko upiec, tak mięso jak i ciasta, lub leguminy. Stosunkowo niedrogi: — 59 fr. kosztuje malutki.

Prąd elektryczny, jako ogrzewacz, znajduje coraz nowe zastosowanie.





r. 10 a

Oto np. przyrząd, dzięki któremu możemy mieć dowolną ilość gorącej wody w każdej chwili. Zakładamy przewód elektryczny, odkręcamy kurek i, regulując napływ wody, otrzymamy rozmaity stopień jej nagrzania. Po użyciu wyłączamy przewód i, albo zakręcamy kurek, albo pozwalamy płynąć zimnej już wodzie. Aparat ten kosztuje 225 fr. Można mieć także taki ogrzewacz gazowy.

Rys. 4 przedstawia maszynkę elektryczną do kawy, systemu „Femoka“, skonstruowaną w ten sposób, że w razie braku instalacji elektrycznej (np. na wsi), może być użyta, jako spirytusowa. Przytem zapewnia—dzięki swemu systemowi—oszczędność w użyciu kawy i piękny jej aromat.

Kryzys mieszkaniowy, który dotknął Paryż narówni z naszymi wielkimi miastami, zmusza przemysł meblowy do rozwiązania trudnego zadania: jak zmieścić największą liczbę potrzebnych sprzętów na jak najmniejszej przestrzeni? Największym utrapieniem naszych małych mieszkań jest — łóżko. Nietylko zabiera najwięcej miejsca, stoi w dzień nieużyteczne, ale w dodatku nadaje specjalny charakter pokojowi. Łóżko-kanapa byłoby najlepszym wyjściem, u nas jednak przedstawia pewne niedogodności ze względu na pościel: cóż bowiem zrobić w dzień z temi wielkimi poduchami, kołdrami, które z naszych łóżek robią kunsztowne budowle? We Francji jest to sprawa dużo prostsza. Każde łóżko, a więc i łóżko-kanapa, składa się z dwóch materaców, położonych jeden na drugim, i małego wałka pod głowę (rys. 5). Jednym dużym prześcieradłem zaścielamy łóżko i wałek, wtykając brzegi między pierwszy, a drugi materac; kładziemy następnie drugie duże prześcieradło, na to dajemy koc, lub kołdrę, odwijamy brzeg prześcieradła tak, aby przy twarzy sformował się rodzaj fartucha, i wszystko razem wpychamy znowu między pierwszy, a drugi materac. Utworzy się wtedy rodzaj worka do spania. Jedną, lub dwie (jeśli dwuosobowe łóżko) małe poduszki opieramy o wałek, i oto łóżko gotowe do spania (rys. 6).

Na dzień nocną bieliznę wkładamy do torby, która tworzyć może śliczną poduszkę; z tej, na której spaliśmy, zdejmujemy poszewkę białą, by się nie brudziła, a wkładamy jakąś strojną, i oto druga poduszka na kanapę gotowa, zaś do trzeciej, w formie wałka, wkładamy prześcieradła i białą poszewkę. Jeśli kanapka jest wybita jakimś strojnym, dostosowanym do całości, materiałem, to zostawiamy ją taką, jak jest

i wtedy trzeba schować gdzieś koc, lub kołdrę, którą okrywaliśmy się w nocy. W przeciwnym razie zostawiamy je na kanapie i całość przykrywamy gęstym narzutem.

Przy tak mało skomplikowanej bieliznie pościelowej, można ją bardzo często zmieniać, a wszystko codzień dobrze wietrzyć. Kanapa-łóżko (rys. 7) tworzy całość razem z podręczną biblioteką. Rys. 8—to zgrabny model kanapy-łóżka dzieciennego.

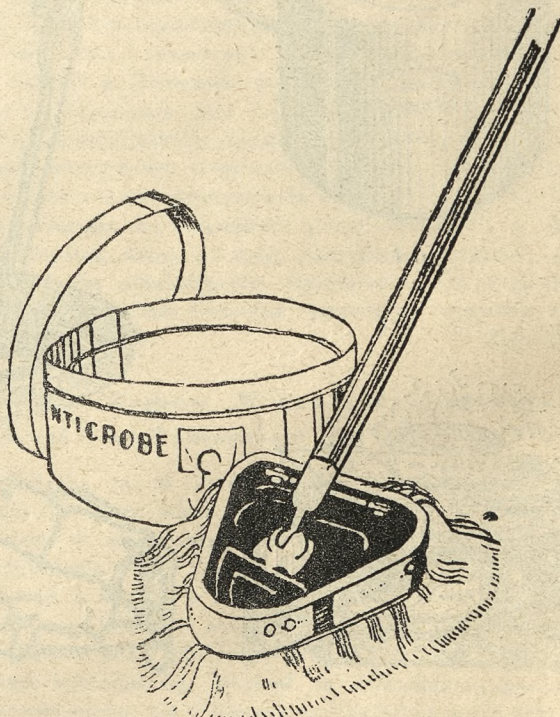
Jeśli szczupłość mieszkania, lub inne względy nie pozwalają zastosować łóżka-kanapy, doskonałą usługę odda łóżko-szafa. Jak takie „Lit de Paris“ wygląda, jakie są jego zalety—najlepiej wykażą załączone fotografie (rys. 9 a, b, c). Rozkłada się i zamyka bardzo lekko; zamknięte, tworzy zwyczajną szafę, w której nikt nie domyśliłby się łóżka. Widziałam takie łóżko-szafę, skombinowane z szafkami bibliotecznymi: tak ładny i elegancki sprzęt, że może stać w każdej bibliotece.

Drugą taką kombinacją były dwa łóżka-szafy, połączone tualetą; słowem, cała sypialnia, która zmieści się na jednej niedużej ścianie.

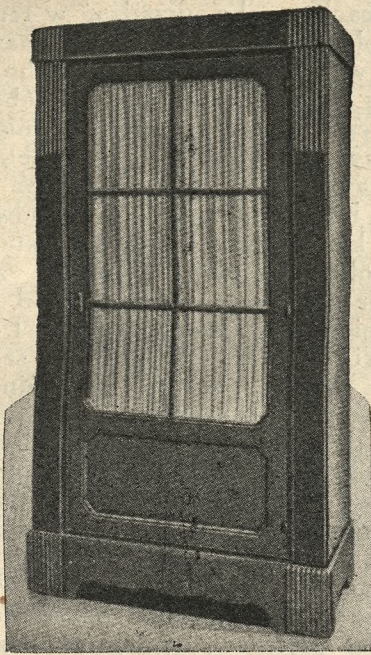
Jeśli już mowa o meblach, pozwolę sobie wspomnieć o ich okurzaniu. Widziałam zmiotki, przewyższające pod każdym względem używane u nas powszechnie piórniki. Rys. 10 a przedstawia taki model. Są to specjalne mocne, a długie frenzle, ujęte w taśmę, którą wsuwamy na metalową ramkę. W każdej chwili można je zdjąć, doskonale wyprać, jeśli zniszczą się jedne, można do takiej ramki dokupić inne. Większy i cięższy model (rys. 10 b) służy do zamiatania i wycierania posadzek. Rys. 11 a i b przedstawiają aparat do nacierania podłóg pastą.

Wiele z tych urządzeń, o których pisałam, można będzie już teraz, lub niedługo, dostać w magazynach naszych wielkich miast. Zanim jednak rozpowszechnią się dostatecznie, warto wiedzieć przynajmniej, jak nasze siostry na Zachodzie ułatwiają sobie trudną i żmudną pracę gospodyń domu.

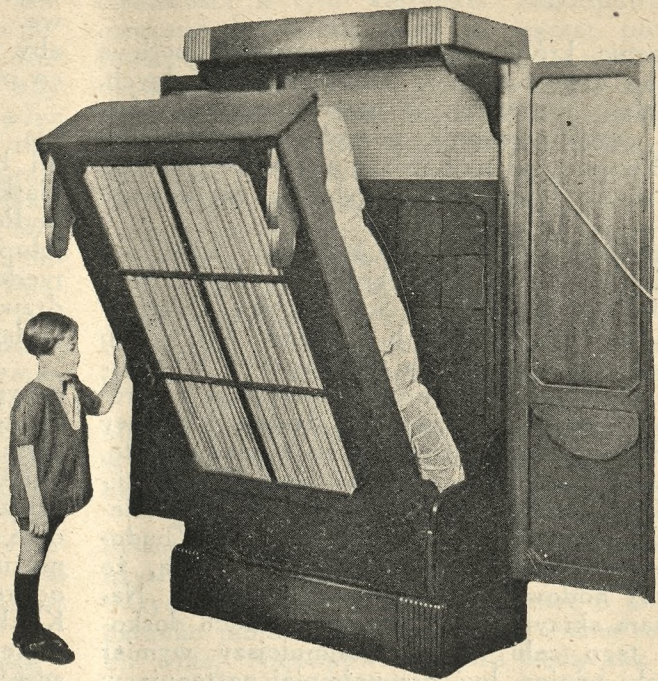
Janina Skowrońska Feldmanowa.



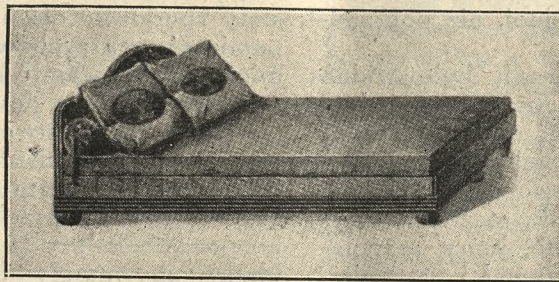
r. 10 b



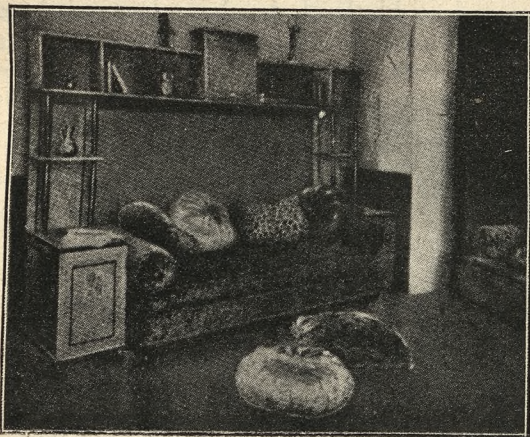
rys. 9c



rys. 9b



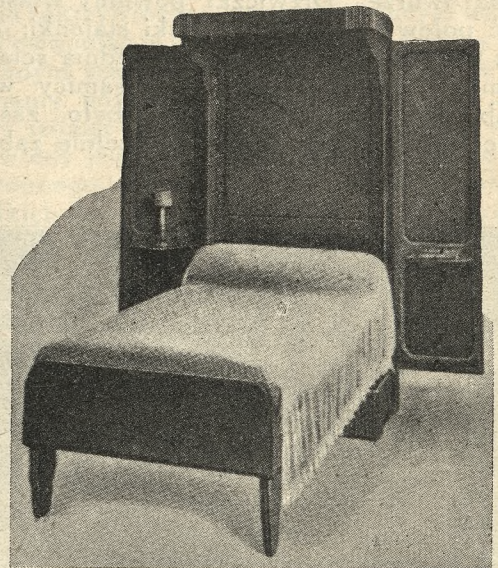
rys. 5



rys. 8



Rys 7



rys. 9a

O URZĄDZENIU KRÓLIKARNI

Urządzenie królikarni jest nienazbyt kłopotliwe i nie wymaga znaczniejszych środków materialnych. To też widzimy zagranicą, iż zarówno zamożny farmer, jak i ubogi wyrobnik posiadają mniejsze, lub większe królikarnie, od najbardziej prymitywnych, aż do luksusowych, (mimo to przeważnie użytkowego kierunku).

Istnieją właściwie dwa typy królikarni, albo, powiedzmy, dwa systemy chowu królików. Najbardziej rozpowszechniony system — to wychów królików w klatkach-stajenkach, zbitych z desek, lub innego materiału; drugi—to wychów w tak zwanych królikarniach wybieganych, gdzie króliki korzystają z ogrodzonych podwórczek do biegania. System klatkowy jest najbardziej rozpowszechniony ze względu na to, iż nie wymaga specjalnych terenów, bowiem klatki-stajenki można umieścić wszędzie, zarówno w pomieszczeniu zakrytem, jak i wprost na dworze. Zbudować klatkę dla królika jest rzeczą tak łatwą, że niemal każdy hodowca potrafi to sam uczynić. Na przykład, stara skrzynia po różnych towarach doskonale się do tego celu nadaje. Najmniejszy wymiar takiej stajenki winien być przynajmniej następujący: 75 cm. długości, tyleż głębokości i wysokości. Lepiej, gdy stajenka jest nieco dłuższa, sięgająca 1 metra. Klatki tego rodzaju nadają się dla sztuk dojrzałych (rozplodowych). Dla młodzieży należy budować stajenki większe, przynajmniej podwójnej, niż poprzednie wielkości.

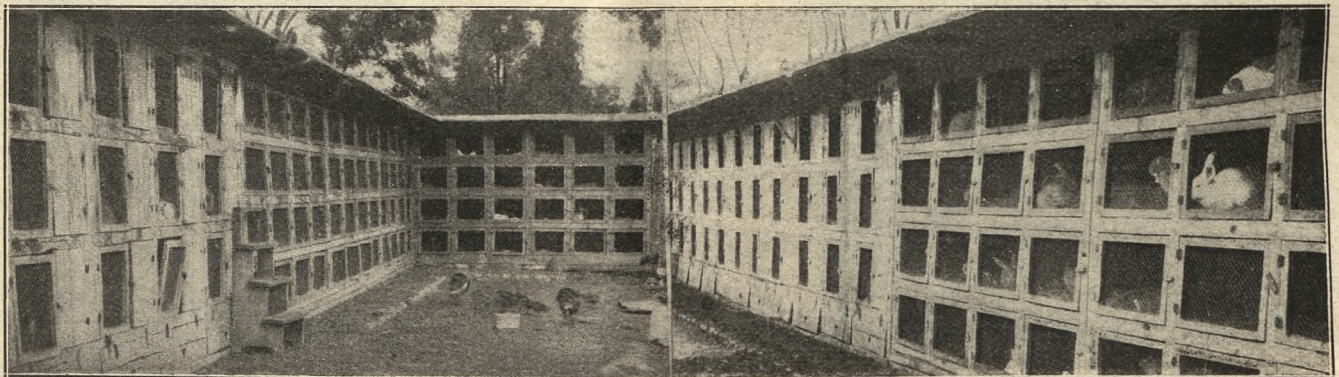
Aby w stajenkach wspomnianych było widno i nie zbrakło świeżego powietrza, trzeba w jednej ze ścianek skrzyni (w bocznej) zrobić drzwiczki, osiatkowane mocną drucianą siatką. Szczelbelki drewniane są niepraktyczne, gdyż króliki z łatwością je przegryzają. Osiatkować drzwiczki do stajenki można i same-mu, używszy do tego zwykłego drutu, który przeplatamy węzłowo, aby się mocniej trzymał i przytwierdzamy gwoździkami od wewnątrz do ramki drzwiczek. Mocna drucziana siatka, dość gęsto spleciona, ochroni króliki od wtargnięcia psów, kotów, szczurów i innych drapieżników, nawet w tym wypadku, gdy stajenki stoją na dworze. Drzwiczki powinny właściwie zajmować połowę przedniej ścianki stajenki; dla samca można nawet osiatkować całą przednią ściankę:— będzie mu widniej i weselej. Dla samicy wskazaniem jest, aby pół ścianki przedniej było zasiatkowane (drzwiczki), a druga połowa szczelnie zabita deska-

mi; chodzi bowiem o to, aby zwierzątko miało zaciszny kąt, w którym urządza sobie gniazdo wykotowe. Dna w klatkach trzeba urządzać w ten sposób, aby wydzieliny płynne mogły przeciekać nazewnątrz, co powoduje, iż w klatce jest zawsze sucho.

W tym celu radzę zrobić dno szczebelkowane, t. j. zbite z deseczek w ten sposób, aby między nimi były szczeliny szerokości $\frac{1}{2}$ centymetra. Gdy klatkę taką postawimy na dworze, trzeba pod nią podłożyć cegły, lub postawić ją na podwyższeniu (słupkach). Gdy klatek mamy niewiele, ustawiamy je rzędem, jedna obok drugiej, wszystkie zwrócone drzwiczkami w jedną stronę. Miejsce pod klatkami podsypujemy popiołem, wapnem, torfem i t. p.

O ile klatki stoją na podłodze (w szopie, lub innym budynku) trzeba zrobić je z podwójnymi dnami, to znaczy, pod dnem szczebelkowatym przybijamy pochyło szczelne dno, impregnowane carbolineum, lub obite blachą ocynkowaną. Po pochyłym dolnym dnie ściekają wydzieliny płynne w jednym kierunku, więc o ile mielibyśmy szereg klatek, stojących obok siebie, można zapomocą umieszczonej u spadku rynienki odprowadzać ciecz do naczynia (naprz. wiaderka). Klatki z podwójnymi dnami, rzecz oczywista, można umieszczać również piętrowo, co daje ekonomję miejsca. Tego rodzaju urządzenie piętrowe widzimy na załączonej obok rycinie.

Przy wychowie królików w klatkach należy mieć na uwadze, iż dorosłe sztuki (rozplodowe) siedzą pojedynczo. Mając tedy samca i pięć samic, musimy zbudować dla nich sześć klatek. Ponadto trzeba pamiętać i o przychowku. W ciągu roku od każdej samicy spodziewamy się trzy-cztery wykoty (więcej wykotów być nie powinno, o ile chcemy mieć zdrowe i silne potomstwo). W każdym wykocie pozostawiamy od czterech do sześciu młodych, zatem trzeba pomyśleć o pomieszczeniu dla tego potomstwa, które zazwyczaj przebywa przy samicy do 6-8 tygodni; poczem należy je odsadzić do oddzielnej dużej klatki, aby mogły dowolnie biegać, przez co lepiej rosną. O ile zbudujemy zatem trzy duże klatki (przynajmniej po 2 metry długości) z całkowicie osiatkowanymi przednimi ściankami, hędziemy mieli pomieszczenie dla przychowku na czas letni, z tem zastrzeżeniem, że naszej królikarni powiększać nie mamy zamiaru, a młodzieży się pozbędziemy, już to sprzedając, jako materiał do rozplodu, już to zabijając, w celu użytkowania na skórki i mięso, (sześciomiesięczne sztuki, późną jesienią, lub na początku zimy). Króliki, chowane w klatkach, trzeba od czasu do cza-



Królikarnia p. Mistełcza w Pieloszkach p. Chodecz

su wypuszczać, aby sobie trochę pobiegały, co wpływa dodatnio na ich zdrowie. Na to potrzebne jest miejsce niewielkie, byle były na oku (naprz. na podwórzu, w szopie i t. p.) Spacery takie trwają niedługo (kilkanaście minut), zważać jednak należy, aby nie wypuszczać jednocześnie kilka sztuk starych, gdyż mogą się pogryźć i pokaleczyć. Doskonałe wyniki daje wychów królików w stajenkach - budkach - przylegającymi do nich osiatkowanymi wybiegami. Królikarnie tego rodzaju wchodzą coraz bardziej w użycie, lecz wymagają więcej miejsca. Stajenki są podobne do budki, przeznaczonych dla psów, przyczem przed budką ogradza się wybieg, wielkości dwóch — trzech metrów kwadratowych. Ogrodzenie musi być mocne, aby nie dostały się psy, i wkopane nieco w ziemię, aby króliki się nie podkopały. W ciągu dnia króliki dowolnie biegają po wybiegu, a na noc trzeba je zamykać w budkach, aby nie dostały się do nich drapieżne zwierzęta. Ruch na świeżym powietrzu znakomicie króliki hartuje i młodzież doskonale się rozwija. Więc kto ma możność urządzenia królikarni z wybiegami, niechaj to uczyni, a z pewnością będzie miał zdrowe i pięknie wyrosnięte zwierzęta.

M. Trybucki.



WINA OWOCOWE

Wyrób win owocowych, do niedawna traktowany po amatorsku, stanowi dzisiaj poważną gałąź przemysłu krajowego w Polsce.

Okres powojenny, a szczególnie kilka ostatnich lat przyniosły nam poważne dorobki w tej cennej fabrykacji.

Nie tak dawne są czasy, kiedy wina krajowe spotykały się z niewiarą, przesądzoną zgóry. Znaczący próbowali ich nawet nie chcieli, chyba, że podano wino owocowe w butelce, zaopatrzonej w etykietę zagraniczną, co zdarzało się niejednokrotnie i to z bardzo zadawalniającymi wynikami.

Ilość fabrykowanych i rozsprzedawanych rocznie win owocowych jest najlepszą rękojmią ich wartości. Szczególniej w okresach świątecznych miasta pochłaniają wagonowe ilości tych, dzisiaj już bardzo dobrych i wartościowych, przetworów owocowych. Niechęć zwalczono ze skutkiem nietylko zadawalniającym, ale wprost imponującym, a powodzenie najwidoczniej w tym wypadku nie zdemoralizowało, a zobowiązało wytworców, gdyż spotykamy na rynku naszym coraz lepsze wina i coraz pokaźniejszą ilość gatunków.

Do jak najszerszego rozpowszechnienia win krajowych przyczyniła się niemało niska ich cena, przy wykwiutnym smaku i aromacie, który z owoców naszych osiągnąć łatwo.

Wyrób win nie należy bynajmniej do rzeczy trudnych. Każda z nas, posiadając nadmiar owoców letnich, doskonale przerobić je może na wino sama, trzymając się z początku ściśle przepisów, a w następstwie łącząc z nimi i nabyte doświadczenie.

Pragnąc zachęcić panie do próby, która, nie wątpię, wypadnie pomyślnie, postaram się zaznajomić je jak najprzystępniej ze sposobem wyrobu win owocowych,

przyczyniając się w ten sposób do pobudzenia ich ciekawości w tym kierunku. Najodpowiedniejszymi owocami do wyrobu wina są: agrest, porzeczkę, borówkę, gruszkę i jabłko. Pominiemy tutaj jagody winne, które u nas rzadko kiedy hodują w ogrodach wiejskich w ilościach, nadających się do przetworu; z kupnych winogron wino wypadłoby zbyt drogo, a co zatem idzie, wyrób nie opłaciłby się.

Wino, wyrabiane z agrestu, należy do najwykwintniejszych i, przy umiejętnym sporządzeniu, nie ustępuje winom gronowym. Agrest nadaje się do wyrobu wina, tak lekkiego, jak i ciężkiego, deserowego. Wino borówkowe bywa doskonałe, a przytem posiada jeszcze i właściwości lecznicze, jednak borówka jest jagodą, z której wino sporządzić najtrudniej.

Porzeczkę używać można tylko jak najszlachetniejszą, posiadającą możliwie najmniejszą dawkę kwasu, w pierwszym rzędzie białą, chociaż i z czerwonych daje się otrzymać wino smaczne o pięknym kolorze.

Owoce, o których mówiłam powyżej, traktowane bywają jako luksusowe; do masowego wyrobu wina używać najlepiej jabłko, lub gruszkę, ale jabłko przede wszystkim. Nie należy zapominać o tem, że dobór gatunku jabłek, czy gruszek gra ważną rolę w wyrobie wina. Najodpowiedniejsze będą tak jabłko, jak gruszkę kwaśne. Szlachetność gatunku nie gra tutaj żadnej roli. Naprzykład gruszkę o odmianie szlachetnej nie przedstawia prawie żadnej wartości przetwórczej, a najodpowiedniejszą będzie mała, zwyczajna i cierpka gruszczyca, z którą w równym rzędzie stoi gruszkę dziką, jako materiał z gruszek najcenniejszy, bo posiadający dużo kwasu i garbnika.

Owoce przeznaczone na wyrób wina, zbierać należy wówczas, gdy doskonale na drzewie, lub krzaku dojrzeją. Słodkim nie pozwolić dojrzeć zanadto, kwaśne mogą być zbierane nieco później. Owoce, z którego mamy robić wino, nie powinien być obierany z łupiny i nie może mieć żadnej styczności z żelazem. Należy zbierać owoce w dzień pogodny i suchy, odrzucając nadpsute, lub dotknięte chorobą. Przy wyrobie wina należy zachować czystość nienaganną.

Pierwszą czynnością po zbiorze owoców będzie zmiżdżenie ich, które dopomaga do wydobycia soku. Miażdżyć owoce można pałką drewnianą, lub specjalnym nożem zakrzywionym, przypominającym kształtem literę S. Postępując w ten sposób, umieszczamy owoce w drewnianym szafliku, poczem miażdżymy je pałką, lub rozcinamy nożem, zależnie od odmiany. Sposób ten należy jednak do najprymitywniejszych i wskazanym jest wtedy jedynie, jeżeli przystępujemy do pierwszego, próbnego wyrobu wina i to jeżeli robimy je w niewielkich ilościach. Robiąc wino na większą skalę, dobrze będzie zaopatrzyć się w tarkę drewnianą, lub młynek.

Tarka składa się z deski, zaopatrzonej w drobne zęby, i skrzynki na owoce, którą, zapomocą umocowanych przy niej rączek, posuwamy po zębatej desce, miażdżąc w ten sposób owoce. Najpraktyczniejszym i ułatwiającym robotę jest młynek, zaopatrzony u góry w specjalny kosz na owoce, z którego dostają się one stopniowo przez lej do młynka. Najgodniejsze polecenia są młynki wiedeńskie firmy Wechtl i młynki firmy Mayfarth.

Młynki są dosyć ambarasowne, gdyż wymagają bardzo starannego utrzymania. Trzeba je koniecznie po każdym użyciu rozbiierać na części, myć dokładnie i doskonale osuszać, gdyż pod wpływem kwasu, znajdującego się w soku winnym, rdzewieją łatwo, a rdza,

rozpuszczając się i ociekając do soku owocowego, działa nadwyraz ujemnie na wino.

Po otrzymaniu miazgi, gromadzimy ją w naczyniach drewnianych, kamiennych, lub szklanych (nigdy metalowych) i przechowujemy w ten sposób, aż do chwili prasowania. Niedobrze jest przystępować do prasowania miazgi natychmiast po zmiżdżeniu owoców, gdyż w ten sposób otrzymujemy mniejszą ilość soku. Nie należy jednak przechowywać miazgi dłużej nad 24 godziny, gdyż przy ciepłej temperaturze zakaza się łatwo bakterjami octowemi. Jedynie bardzo delikatne miazgi, otrzymane z owoców miękkich i bardzo soczystych, można poddać bez uszczerbku natychmiastowemu prasowaniu.

Naczynia drewniane przed zebraniem miazgi muszą być doskonale wyparzone, aby straciły specyficzny zapach drzewa, przytem należy zwrócić uwagę na to, aby nie używać naczyń z drzewa sosnowego. Naczynia drewniane muszą być nowe, nie używane przedtem do niczego i nienagannie czyste.

Raz jeszcze zwracam uwagę, aby na wino zbierać owoce wyborowe i dojrzałe. Jeżeli w grę wchodzi drobne owoce letnie, trzeba uchwycić moment, kiedy są dojrzałe, a jednak nie przejrzałe, bo wtedy dostarczą nam wina o smaku mdłym.

Do prasowania miazgi mamy najrozmaitsze przyrządy. Domowa fabrykacja zadowolni się jednak zwyčajną prasą drewnianą, przypominającą serownicę. Prasa taka składa się z dwóch desek. Dolna deska zaopatrzona jest w boczne listwy, które nie pozwalają ściekać sokom, i wyżłobiona w rowki, po których sok spływa do naczynia; jest ona przytem pochylona nieco ku przodowi, aby sok łatwiej ściekał. Górna deska przymocowana jest tylko z jednej strony do dolnej, właściwie spięta z nią w ten sposób, aby z drugiego końca dała się przyciskać zapomocą stopniowego obciążania.

Miazgę owocową składamy w gruby, mocny płócienny worek, wiążujemy i wkładamy pomiędzy dwie deski, naciskając stopniowo, z początku słabiej, potem silniej, co powoduje ściekanie soku do podstawionego naczynia.

Gdy zauważymy, że sok ściekać przestaje, należy wyjąć worek, poruszyć go, przełożyć na drugą stronę i powtarzać czynność tę do chwili, kiedy wszystkie sok wyciśnięty zostanie.

Przy masowym wyrobie win używane są specjalne prasy, które ułatwiają pracę i dają doskonałe wyniki.

Tak otrzymany sok, czyli moszcz, należy przedzić przez włosiane sito, albo gęsty muślin, co pomaga do otrzymania soku czystego, wolnego od cząstek owocowych.

Jeżeli zauważymy, że w miazdze owocowej pozostało sporo soku, można poradzić sobie w sposób następujący: Do pozostałej miazgi, którą dobrze jest raz jeszcze przepuścić przez młynek, dodajemy niewiele wody o temperaturze nieco wyższej, niż pokojowa, i po 24 godzinach prasujemy ją ponownie, mieszając sok z wcześniej otrzymanym.

Zależnie od gatunku owoców, z jakich sok został przygotowany, należy go odpowiednio rozcieńczyć wodą i dodać doń wskazaną ilość cukru. Rozcieńczając sok, co ma miejsce przeważnie przy wyrobie wina z jagód, posiadających stosunkowo mało cukru, a wiele kwasów, trzeba uważać, aby zbyt niemiękkim rozcieńczeniem nie zatracić charakterystycznego smaku

i aromatu. Jeżeli zachodzi potrzeba silnego rozcieńczenia moszczu, lepiej przerobić sok z jagód na wino ciężkie, które dopuszcza silniejszy stopień kwasowości.

Po omówieniu sposobu wyrobu wina, podam ściślejsze wskazówki, dotyczące rozcieńczania i słodzenia moszczu, zależnie od owoców, z jakich był otrzymany.

Po otrzymaniu moszczu, poddajemy go fermentacji. Fermentacja polega na zmianie cukru na alkohol.

W okresie fermentacyjnym trzymamy moszcz w temperaturze pokojowej.

Do fermentacji konieczne są drożdże. Sprowadzamy je ze specjalnej stacji fermentacyjnej. Stacje takie wysyłają drożdże w buteleczkach, które należy przechowywać w miejscu chłodnym i zupełnie suchym i nie przetrzymywać dłużej nad dwa tygodnie. Wrazie, gdyby z jakichkolwiek przyczyn sprowadzenie drożdży specjalnych było niemożliwym, można zastąpić je zwyczajnymi drożdżami prasowanymi, ale bardzo świeżymi.

c. d. n.

W. D.



ZUPA WIEDEŃSKA RISI-BISI

Ugotować litr lekkiego rosółu z dróbek od kurcząt, lub kostek cielęcych z włoszczyzną, (bez selera i cebuli). Oddzielnie ugotować szklanekę młodego, zielonego groszku i udusić na sypko pół szklanki ryżu, dodając do wody, w której się gotuje, łyżkę masła. Włoszczyznę z rosółu przetrzeć przez gęste sito, zmieszać z ryżem i groszkiem, rozprowadzić rosółem. Wrazie potrzeby powinny być przygotowane dwa żółtka, łyżka młodego masła i łyżeczka koperku, lub pietruszeczki. Wlać narazie niedużą ilość zupy, rozbić dobrze z żółtkami, potem dolać resztę: wlewając raptownie zupełną, moglibyśmy zwarzyć żółtka. Zupa ta powinna być bardzo zawieszista.

KURCZĘTA PO WIEDEŃSKU

Spore kurczęta, oprawione, jak zwykle, ugotować z włoszczyzną (marchewką, pietruszką i koperkiem) na rosół, nie przegotowując ich nadto, aby się nie rozpadły. Rosół podać z kluseczkami, ryżem, lub czysty z pasztecikami; kurczęta zaś przyrządzić w sposób następujący: Przekrajać każde kurczę na cztery części; grubsze kości wyjąć, nie psując jednak kształtu ćwiartek; ułożyć na deseczce, przycisnąć drugą, dać zastygnąć dobrze. Utarzać kurczęta w mące, potem w rozbitym jajku, nakoniec w bułeczce i natychmiast rzucić na rozpaloną fryturę, której powinno być tyle, aby kurczęta w niej pływały. Gdy się z obu stron zrumienia, osączyć na sicie, ułożyć na półmisku, pokrytym serwetą, ubrać surową, lub smażoną zieloną

pietruszczyką, wzdłuż kranami ćwiartkami cytryny i podawać. Jedząc, zaciska się je cytryną, — można podać do nich każdą zieloną sałatę, a nawet kompot.

LEGUMINA Z CZARNYCH JAGÓD

Zrobić ciasto, jak zwykle na naleśniki, jednak biorąc na nie tylko żółtka z jaj, białka zaś pozostawiając na dalszy użytek. Z trzech żółtek, półtorej szklanki mąki i takiej ilości wody, aby ciasto się rozplątało cienko po patelni, upiec 10—12 naleśników, niezbyt cienkich. Pół kilo czarnych jagód osypać obficie cukrem-pudrem. Rondelek płaski wysmarować dobrze masłem, naleśniki składać we dwoje, przekładając każdą jagodami i układać w rondlu, kładąc pomiędzy każdą parę mały kawałek masła. Z pozostałych białek ubić sztywną pianę, zmieszać z łyżką cukru-pudru, utłuczonego z odrobiną wanilii, powlec tą pianą leguminę i wstawić na kwadrans w piec dla zrumienienia.

TARTELETKI Z POZIOMKAMI, LUB MALINAMI

Pół kilo mąki zagnieść z ćwierć kilo tłustego masła, lub najświeższego szmalcu i dwiema kopiastemi łyżkami cukru, wynieść na chłód na parę godzin. Rozwałkować cienko, wyłożyć tem ciastem foremki do babek śmietankowych, mocno wciskając ciasto pomiędzy rąbki. Upiec na rumiano w średnio-gorącym piecu. Wyrzucić z foremek, dać przestygnąć. Pół kilo poziomki wymieszać z paru kopiastemi łyżkami cukru-pudru, napełnić niemi tarteletki i natychmiast podawać. Można też ułożyć poziomki bez cukru i pokryć każdą tarteletkę łyżką śmietany, ubitej z cukrem i wanilią, (szklanka dobrej, gęstej i nieprzekwasniałej śmietany i dwie łyżki cukru, utłuczonego z wanilią). Na koniec można zagotować szklankę wody z sokiem pół cytryny i pół szklanką cukru, dodać trzy listki żelatyny i tą stygnącą galaretką zalać tarteletki, potem wynieść je na parę godzin na chłód, aby się galaretka ścięła. Z tej proporcji powinno wyjść 12 tarteletek.

KONFITURA Z ORZECHÓW WŁOSKICH

Gdy orzechy są jeszcze zupełnie zielone, łupinę mają miękką i ziarnko w nich dopiero się zaczyna formować, można z nich zrobić smaczną i ładną konfiturę. Wybrać orzechy równej wielkości, nakłuwać je gęsto i głęboko srebrnym widelcem, wrzucać w duży kubeł zimnej wody i moczyć w niej trzy doby, codzień wodę zmieniając. Po trzech dniach odcedzić, osuszyć na sicie, przełożyć do wazy i zalać ostudzonym syropem, ugotowanym z kilo cukru i trzech szklanek wody na kilo orzechów. Po dwudziestu czterech godzinach syrop zlać, dodać ćwierć kilo cukru, przesmażyć i letnim zalać orzechy. To przesmażanie i dodawanie cukru powtórzyć jeszcze dwa razy, coraz cieplejszym zalewając orzechy. Poraz ostatni na wrzący ulep wrzucić orzechy i smażyć na bardzo wolnym ogniu, aż orzechy zmiękną i syrop zgęstnieje. Chcąc, aby orzechy zachowały ładny kolor, wcisnąć przy smażeniu sok z całej cytryny, lub wsypać łyżeczkę kwasu. Chcąc, aby konfitura była trwała, po usmażeniu dodać

pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżeczce gotowanej wody. Ostudzone dobrze orzechy składać w słotki i obwiązywać pergaminem, jak zwykle.

RATAFJA WIŚNIOWA

Gąsior nałożyć do pełna wiśniami czarnymi, bardzo dojrzałymi, dodać do nich garść utłuczonych pestek wiśniowych, kilka goździków i laskę cynamonu; nalać to spirytusem, aby objął, i postawić na słonecznym oknie. Co kilka dni obracać gąsior coraz to inną stroną do słońca. Gąsior zakorkować dobrze i jeszcze po wierzchu obwiązać rozmoczonym pęczkiem, aby się aromat wisien nie ulatniał. Po czterech tygodniach należy spirytus zlać, a wiśnie zalać gęstym ulepem, usmażonym z dwóch szklanek wody na kilo cukru. Znowu zakorkować gąsior, obwiązać pęczkiem i trzymać w słońcu cztery tygodnie. Po tym czasie syrop zlać, zmieszać z uprzednio zlaną nalewką, przecedzić przez flanelę i pozlewać do butelek. Wiśnie, nasiąknięte spirytusem i syropem, mogą być użyte, jako „pousse-café“, przy czarnej kawie.

Pani Elżbieta

DOBRE RADY

Przy smażonych na fryturze rybach, krokietach i innych daniach zwyczajkaże podawać cytrynę. Nie każdej z pań pewno wiadomo, dlaczego. Otóż produkty wszelkie, przy zetknięciu z rozpalonym tłuszczem, tracą znaczną ilość części pożywnych; pokropienie cytryną zaradza temu, dodając im w jej soku dużo utraconych przez smażenie części użytecznych dla organizmu naszego.

* * *

Często jesteśmy w kłopotcie, czytając w przepisach kulinarnych: wziąć łyżeczkę tego, łyżeczkę tamtego; dla wiadomości moich czytelniczek podaję że łyżeczka od herbaty zawiera: 3 gramy rozpuszczonego tłuszczu, 4 gr. wody, 5gr. cukru. Deserowa łyżeczka ma trzy, a łyżka od zupy—cztery łyżeczki.

„KULTURA CIAŁA“

miesięcznik ilustrowany, poświęcony szerzeniu kultu zdrowia fizycznego i racjonalnej kosmetyce, pod red. Dr. Julji Świtalskiej

Tytuły działów, prowadzonych przez najlepsze siły lekarskie i fachowe:

Higjena ogólna z uwzględnieniem specjalnie kobiecej. Wychowanie fizyczne. Kosmetyka lekarska. Choroby skórne. Światłolecznictwo. Rytmika, tańce plastyczne i t. d. Środki kosmetyczne. Masaż ogólny i kosmetyczny. Zagadnienia ogólnej natury. Nowości (buduar pięknej kobiety, rozmowy przez telefon, radio, wywiady z artystkami, pięknymi kobietami i t. d.) Dział odpowiedzi na listy czytelniczek.

Cena n. ru 1 zł. 50 gr., prenumerata kwartalna z przesyłką pocztową 4 zł. 50 gr.

Nadsyłać czeki: P. K. O. Warszawa, Tow. Wyd. „Bluszcz“ Nr 13.555 Administracja: Krak.-Przedm. 99.

KORESPONDENCJE

Do Sz. Prenumeratorek „Bluszczu”. Redakcja „Bluszczu” zawiadamia, że z wszelkiego rodzaju porad, nie wyłączając kosmetyki, będą mogły korzystać wyłącznie prenumeratorki „Bluszczu”. Wobec tego prosimy uprzejmie Sz. Panie o podawanie swych adresów na listach, kierowanych do nas z wszelkiego rodzaju zapytaniami.

Pani B. C. Niedzielska. „Życie praktyczne” w najbliższym czasie wyda zeszyt — „Nalewki i likiery”.

Pani D. E. Kamionka — Do stacji doświadczalnej w Milanówku adresuje się: stacja kolei Milanówek, Stacja doświadczalna hodowli jedwabników — pp. S. i M. Witaczek. Zeszytem „Życia Praktycznego”: „Konfitury, konserwy, soki”, możemy Sz. Pani służyć — cena 1 złp. 50 gr. Co do win, niech Sz. Pani przejrzy książkę Dr. Merynga. Jagody, o których Sz. Pani pisze, to pewno włochinie; wątpię, czy nadadzą się do roboty wina: pewno są zbyt suche.

Pani L. M. Białystok — Plamy z nafty na wełnianym materiale, czyścić się: stacja kolei Milanówek, Stacja doświadczalna hodowli jedwabników — pp. S. i M. Witaczek. Zeszytem „Życia Praktycznego”: „Konfitury, konserwy, soki”, możemy Sz. Pani służyć — cena 1 złp. 50 gr. Co do win, niech Sz. Pani przejrzy książkę Dr. Merynga. Jagody, o których Sz. Pani pisze, to pewno włochinie; wątpię, czy nadadzą się do roboty wina: pewno są zbyt suche.

Pani J. S. Radocza — Sądzę, że aksamit nie był jeszcze niczem czyszczony; najlepiej oczyścić spirytusem — Jeżeli wino było bardzo słodkie, trzeba naprzód zmyć cukier delikatnie szczoteczką, zwyczajną ciepłą wodą z mydłem — następnie prasować po lewej stronie w powietrzu i dopiero wycierać ze spodu i zwierzchu spirytusem i znów prasować w powietrzu.

Pani J. P. Kielce — Niech Sz. Pani zlepi obie połowy makatki podług oznaczonych liter, a wyjdzie całość — Najlepiej podlepić kawałkiem papieru.

Pani A. P. Opatówek — Trudno mi poradzić Sz. Pani na chorobę rośliny, nie widząc jej. Filodendron, wrażliwy na przeciągi, wiatr i silne słońce, nie powinien być w lecie wynoszony z pokoju, ani stać na gorącu. — Rośnie prędko, ale dolne liście zawsze zrzuca — Niech Sz. Pani kupi zeszyt „Życia Praktycznego” „Rośliny pokojowe”, a znajdzie Pani tam, dokładne wskazówki, jak z nim postępować.

Pani M. J. Cięcina — Niech Sz. Pani rozpuści pastylkę benzoesową w spirytusie, zdejmie dokładnie pleśń z butelki i zaleje sok łyżeczką tego spirytusu. Pleśń powinna zginąć i więcej się nie pokazywać. Może sok stoi w miejscu wilgotnem.

Pani J. C. Kalwarja — Książeczka „Najmodniejsze Szale”, ukaże się w tych dniach — cena 2 złp. Za zaliczeniem pocztowym nie wysyłamy, gdyż koszt się nie opłaca; prosimy o nadesła-

nie 2 złp. — a książeczkę natychmiast wyślemy. Do cytrynowego koloru ładnie będzie użyć kolor szafirowy, lub czarny.

Stałej czytelniczce — Pleszew. Szkoła pielęgniarstwa dwuletnia, prowadzona przez Amerykanki przy Szpitalu Czerwonego Krzyża, Smolna 6 — jest najlepsza: oprócz niej są kursy pielęgniarek czteromiesięczne i ośmiomiesięczne, przy stowarzyszeniu Czerwonego Krzyża, Mazowiecka 9. Kwalifikacje, potrzebne do szkoły amerykańskiej — świadectwo ze skończenia szkoły średniej — na niższe kursy zaś świadectwo z ukończenia szkoły powszechnej. O bliższe warunki niech Sz. Pani napisze do Zarządu Czerwonego Krzyża.

Pani K. B. Toruń. Do wyrobu win owocowych znajdzie Sz. Pani wskazówki w książce Dr. Meringa — przyrządzanie zaś soków — w zeszycie „Życia Praktycznego” pod tytułem „Konfitury Konserwy, Soki”. Książeczkę dostanie Pani w każdej księgarni „Ruchu”.

Pani L. M. Niech się Sz. Pani zwróci do firmy Rozmanith, Ossolińskich 8; jest to jedyna firma w Warszawie, która mogłaby załatwić ten interes.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dzieciinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrusek — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

KTO CHCE PRZYGOTOWAĆ PRAKTYCZNE ZAPASY ZIMOWE, MUSI NABYĆ KSIĄŻECZKĘ

p. t.

„JARZYNY NA ZIMĘ”

W opracowaniu p. ELŻBIETY.

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu” kosztów przesyłki nie liczymy. Za zaliczeniem nic wysyłamy.

KAŻDA KOBIETA USZYJE I OZDOBI SAMĄ SWOJĄ BIELIZNĘ, JEŻELI KUPI KSIĄŻECZKĘ

p. t.

„Wykwintna i praktyczna bielizna”

CENA 1 zł 50 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu” kosztów przesyłki nie liczymy. Za zaliczeniem nie wysyłamy.